Nr. 3. Lwów, dnia 1. Marca 1894. Rok XVII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z krainy lotów.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

Zrywanie się do lotu. — Skrzydła. — Budowa kości ptaków. — Oddech w rozrzedzonej atmosferze. — Wpływy wiatru. — Zataczanie kół. — Wywracanie koziołków. — Wzlot pionowy. — Zawisanie w powietrzu. — Dźwiganie ciężarów. — Szybkość lotu. — Pierzenie. — Grupy ptactwa łowieckiego według lotu i wagi ciała. — Lot postępowy. — Szybkość wachlowania. — Zapadanie.

I.

„Czyj dowcip gnał rojem latawców do sideł,
Kto wstępnym wziął bojem sztandary z ich skrzydeł“
— ten może chętnie podąży ze mną bodaj myślą w te ptasie sfery, gdzie kres naszemu panowaniu kładzie nieubłagane prawo ciążenia. A jeśli przemyślny umysł człowieka zdoła środkami technicznemi wznieść swą materyalną istotę, jeżeli potrafi odłączyć się bodaj na chwilę od tego mrowiska, to śmiały na ziemi aeronauta dopiero tam wysoko, w regionach chmur, poznaje swoją bezsilność. Wznieść się potrafił, ale latać nie umie, i z całym swoim pomysłowym przyrządem staje się igraszką żywiołu. I z każdym rokiem bogacą się tragicznemi przygodami prastare dzieje powietrznych wycieczek.

Jak niegdyś mityczne dziecię Dedalowe, topią się dzieci naszego stulecia, rozbija rozkiełzany żywioł ciała ich o skały, a innych znów śmiałków projekty, oparte nibyto na niewzruszonych prawidłach, obracające się wśród czynników zbadanych nibyto przez fizykę, rozpoznanych przez anatomię, a stosowanych przez mechanikę — nie wychodzą z ram modelów, i stają się albo pośrednią drogą do zboczenia umysłowego wynalazcy, albo co najlepsze, wędrują w tym stanie do londyńskiego pałacu przemysłowego, do tego azylu wszystkich problemów, dążących do rozwiązania ciekawej zagadki lotu.

Nie miejsce tu zapuszczać się w dzieje tych usiłowań, niestety nadaremnych dotychczas. Pomysły największych geniuszów ludzkości, którzy w wolnych chwilach bodaj myślą szybowali po bezgranicznych sferach powietrznych, pozostały tylko jako dowody, że i potężne głowy zajmywały się już tym problematem, w przekonaniu, że musi być rozwiązany, skoro wszystkie okoliczności odpowiedzą swemu zadaniu. Lecz pozory mylą, gruntowniejsze obeznanie się z mechaniką i istotą lotu nasuwa cały gmach nowych zagadek, i oddala się ta chwila, w której przedziwny monopol skrzy-

dła zużytkowanym zostanie dla celów ludzkości, lub co gorsza, myśliciele dochodzą na gruncie krytycznego rozbioru praw lotu, do rozpaczliwej konkluzyi, iż rozwiązanie tej zagadki zapomocą przyrządów mechanicznych należy do rzeczy niemożebnych. (*Schweiger Lerchenfeld J. J. Z. 1893. 176*).

Smutne te wnioski opierają się na realnym materyale, jaki w tym zakresie zebrała w ostatnich czasach fotografia. W chwili, gdy z błyskawiczną szybkością począł promień światła rysować prawdę na czuliwej płycie, poznano, jakim strasznym złudzeniom ulegał niedokładny nasz organ widzenia, zbierając tylko całkiem ogólne i tylko zbiorowe, z mnóstwa innych nieprzystępnych dla wzroku ruchów składające się wrażenia. Fotografia rozstrzeliła te nieuchwytne dla wzroku i trwaniem rozdzielone wrażenia i długo zdumione oko ludzkie spoglądało na te dzieła prawdy, zanim pogodzić się mogło z tą pozorną karykaturą. I otóż bardzo skomplikowanym przyrządem okazało się skrzydło ptaka, a mechanika lotu jego sumą mnóstwa drobnych szczegółów.

Gdyby nawet udoskonalona mechanika, wydarłszy naturze wszystkie fortele, potrafiła wreszcie, oprócz cech zewnętrznych, zjednoczyć w przyrządzie mechanicznym wszystkie cechy urodzonych latawców, to jeszcze by końca nie było dziełu, trzeba by tu wytworzyć zarazem i tę łączność wzajemną, jaką widzimy w organizmie ptaka pomiędzy wolą i na usługi jej oddaną mechaniką lotu. Nie wiele to wprawdzie, ale zawsze dosyć, aby długo jeszcze ludzkość z tęsknotą w oku spoglądała na byle jaką lecącą ptaszynę.

Porzućmy przeto i racyonalne kombinacye i marzycielskie aeronautów ideały, a spojrzyjmy na tych urodzonych powietrznych żeglarzy, którzy nas otaczają w codziennem życiu myśliwskiem, dodajmy do tego co widzimy, badawcze zdobycze ostatnich czasów, a odkryje się tam niejedna wprawdzie banalna dla oka myśliwego, ale zawsze ciekawa karta z życia tych skrzydlatych armij, po które sięga broń nasza w powietrzne strefy.

Znaczna część ptaków łowieckich rzadko kiedy daje się spostrzegać w stanie spoczynku, a tem mniej w stanie tym czy to na ziemi, czy na wodzie lub na drzewie na strzał zejść się daje. Większość ptaków łowieckich, tając się przed wzrokiem w ukryciu, przy ziemi, dopiero porwaniem się zwraca na siebie uwagę, i wtedy następuje dla myśliwego decydująca chwila strzału w locie.

Wprawdzie można być znakomitym znawcą ptactwa, można być mistrzem w sztrzelaniu ptaków w locie, bez najmniejszego wyobrażenia o prawidłach lotu, lecz w czasach, gdy łowiectwo wyszło już z ciasnych granic rutyny i w coraz szersze granice wiedzy sięga dla swych celów, mniemam, że rozprawa o locie ptaków łowieckich, w której główne momenta tego ruchu teoretyczne znajdują uzasadnienie, jest pożądaną w zawodowem piśmie łowieckiem.

* * *

Problem mechaniczny, jaki ptak w locie rozwiązuje, jest co do swej istoty zupełnie podobny do innych ruchów ciał zwierzęcych, z tą jedynie różnicą, iż ruch w powietrzu, w obec wielkiego stosunkowo ciężaru gatunkowego ciała względem medium powietrza, staje się o wiele trudniejszym według naszych pojęć, a już z największą trudnością spotyka się organizm ptaka w chwili, gdy się odłącza od stałej podstawy i gdy się powierza ruchomym falom powietrza, szczególniej u tych gatunków, które ze swego siadła na wodzie lub ziemi ku górze się zrywają.

Przejście ze stanu spoczynku w ruch, wymaga zawsze większego użycia siły, niż podtrzymanie ruchu, to też i ptak taki przy rozpoczęciu lotu większej musi użyć forsy, czyli innemi słowy posiadać musi w nadmiarze możność i środki do lotu. Wiemy z doświadczenia, iż ptaki młode lub odwykłe od lotu, porwać się z miejsca nie mogą, lecą jednak bardzo dobrze, gdy je w górę podrzucimy; są to bardzo wyraźne dowody, iż do rozpoczęcia lotu większego zasobu pracy mechanicznej potrzeba.

Jakkolwiek nietylko skrzydłem zwalcza ptak ciężar własnego ciała i umożliwia ruch w powietrzu, to jednak jest to najważniejszy organ, któremu zaraz na wstępie kilka słów poświęcić wypada. Porównawszy skrzydła dwóch daleko od siebie w organizacyi stojących ptaków, dostrzegamy wprawdzie zasadniczą jednolitość w budowie, ale mnóstwo różnic w szczegółach. Wszystkie skrzydła są płaszczyznami śrubowatemi, wszystkie u góry wypukłe u spodu wklęsłe, a kształty te najlepiej dadzą się rozpoznać, jeśli się przyglądamy skrzydłu z przodu lub od końca w płaszczyźnie poziomej. Doświadczenia ostatnich lat wykazały, iż wklęsło-wypukły kształt powierzchni skrzydła jest dla mechaniki lotu najkorzystniejszym, powierzchnia taka bowiem wywołuje pionowe drgania fal powietrza, podczas gdy wachlowanie powierzchni płaskiej wywołuje różnokierunkowe wiry w powietrzu, które przeszkadzają głównemu efektowi, a tem jest znalezienie jak największego oporu, gdyż tylko ów opór ułatwia wzniesienie się czyli porwanie się przy pomocy skrzydła.

Gdyby skrzydła były płaszczyznami jednostajnemi, bez tej sprężystości i ruchliwości, jakie im komplikowany aparat ścięgn i muszkułów nadaje, gdyby nie te pokłady dachówkowato ułożonych a śrubowo skręconych piór, w takim razie wachlowanie skrzydłem mogłoby wywołać tylko sam ruch powietrza, ale opory od góry znosiłyby opór u dołu, i oprócz wirów niebyłoby innego efektu. Dopiero opisane kształty powierzchni skrzydła, jego nadzwyczajna ruchliwość, niemniej przedziwnie do wywołania efektu mechanicznego zastosowany układ piór, czynią go skończonem do lotu narzędziem. Przy uderzeniu w dół, przedstawiają skrzydła niemal nieprzypuszczalną dla powietrza powierzchnię, przeciwnie w ruchu ku górze powietrze lekko pomiędzy rozpierzchłe pióra umyka, a o różnicy tych oporów może dać wyobrażenie eksperyment z byle jakiem skrzydłem; i niezbyt czuła ręka potrafi tam odrazu rozpoznać różnicę oporów.

Kąt, pod jakim ptak uderza powietrze, chcąc wzlecieć, różni sie u rozmaitych gatunków, jednak wszystkie ptaki uderzają skrzydłami ku przodowi pod kątem 15—30. Ruch ten wywołać by musiał cofnięcie się, gdyby powierzchnia skrzydła nie była w sposób opisany kombinowaną; to też zupełnie płaskich skrzydeł w całym świecie ptasim niema, a natomiast jest cała skala mniej lub więcej skręconych powierzchni śrubowych. Gdy położymy na stole skrzydło czapli, to powierzchnia jego prawie przylega do powierzchni stołu, skręt śrubowy jest tam bardzo nieznaczny, przeciwnie zaś skrzydło kniejotek, kuropatw najwybitniejsze będzie przedstawiać zboczenia, oprze się na lotkach rękowych i ramieniowych, a lotki przedramieniowe nie dotkną płaszczyzny. Skrzydła takie napotykamy zwykle u ptaków ciężkiego ciała a szybkiego lotu, u ptaków krótkoskrzydłych, gdzie małą stosunkowo powierzchnią mocno skręconego i wypukłego skrzydła działa energiczny motor, wielka siła muskularna ptaka.

Nie będę się tu dalej zapuszczał w opisy szczegółów anatomicznych budowy organów lotowych, tem mniej, iż

suchym takim opisem bez graficznych przedstawień, umęczyłbym tylko niepotrzebnie i siebie i cierpliwego czytelnika. Wśród obrazu naszej skrzydlatej drużyny, na jaki bym tu pragnął zwrócić po kolei uwagę czytelnika, znajdzie się jeszcze nieraz sposobność do wetkania tej suchej a niezbędnej nitki w tło różnobarwne.

Oto już porywa się ptak, rozpuszcza ogon jak wachlarz, wyciąga naprzód szyję, cały tułów więcej poziome przybiera położenie, i w tej chwili skrzydło pierwszy raz uderza powietrze, a uderzenie to nietylko podnosząco działa na ciało, ale zarazem posuwa go naprzód. Przy wznoszeniu kurczy się skrzydło mniej lub więcej u wszystkich ptaków, ruch ten jest nadzwyczaj raptowny, tak, iż go okiem dostrzec nie można, lecz udowadniają to błyskawiczne zdjęcia wzlatujących ptaków, a gdy następują dalsze uderzenia skrzydła ku dołowi, ptak już wzleciał, i znajduje się w ruchu postępowym, w pełnym locie.

Niektóre gatunki potrafią wzlecieć niemal w kierunku pionowym, inne wzlatują w linii ukośnej a częstokroć ukośnie przerywanej, czyli zygzakowatej. Zależy to od fizycznej organizacyi gatunków, a w szczególności od kąta, pod jakim płaszczyzna skrzydła względem ciała jest osadzoną. Podczas gdy ptak, umiejący wzlecieć pionowo, nie zawsze się tak porywa, lecz stosuje się do otaczających okoliczności, ptaki inne zawsze tylko w linii ukośnej wzlatują. Słonka wśród gąszczy podrosłego zapustu zrywa się w kierunku pionowym, i w ten tylko sposób wydostaje się w sferę wygodną dla dalszego lotu. Ale umie ono wzlecieć i w linii ukośnej, a widzieć to można, gdy się ją spłoszy na niezarosłej powierzchni. Wznoszenie się tak słonki jako też wielu innych ptaków w linii pionowej jest najzupełniej zawisłe od otoczenia, lecz nazbyt zgrabnie akomoduje się nasz długodziób leśny do tego.

Zeszłej jesieni spłoszyłem słonkę w bardzo gęstym 30-letnim świerkowym lesie; w pionowej linii wzniosła się ona przynajmniej na 20 metrów w górę, aż nieco po nad szczyty drzew. Innym razem ten sam ptak, wypłoszony z podszycia leszczyny w rzadkiej dąbrowie, wzlatywał tylko tyle, ile mu potrzeba było, aby się wydostać z gałęzistej matni podszycia.

Ptaki drapieżne z rodzaju sokołów wcale w kierunku pionowym wzlatywać nie mogą, lecz czynią to w lini mniej lub więcej ukośnej lub w zygzakach. Tak samo wzlatują bociany i wiele innych większych ptaków.

Ptak wzlatujący musi mieć koniecznie miejsce do użycia skrzydła; stąd ptactwo krótko-nogie a długo-skrzydłe nie siada zazwyczaj na ziemi, ale na przedmiotach wzniesionych na drzewach, budynkach i t. p. Bardzo rzadko siadają na ziemi jaskółki, a już wcale fenomenalnie czyni to jerzyk (*Cypselus murarius*). Krótkonoga ta ptaszyna czepia się zawsze przedmiotów wyniosłych i stamtąd nie zrywa się, ale formalnie rzuca się w powietrze. Ten przedziwny latawiec jest na ziemi nieudolnym, nie mogąc użyć swych długich skrzydeł dla krótkości nóg. Im dłuższe przeto skrzydło, tem wyżej musi być nad ziemią użyte, to też u wielu gatunków ptaków długoskrzydłych a siadających na ziemi, wysokie nogi dają dopiero możność skutecznego rozwinięcia potęgi skrzydeł, bez potrzeby podskakiwania w chwili wzlotu.

Najcenniejsze okazy naszego ptactwa łowieckiego, kniejotki, przepiórki, kuropatwy, kaczki usiadają po największej części na ziemi lub na wodzie; ptactwo to posiada wprawdzie krótkie nogi, ale też i krótkie, mocno w śrubowatą powierzchnię zwinięte skrzydła. Przy pomocy raptownego i bardzo silnego ruchu skrzydeł wzlatuje ptak takiej organizacyi, a doniosły szelest zrywania mówi wyraźnie o użytej forsie. Szelest ten, charakteryzujący każdy gatunek, elektryzuje o tyle początkującego myśliwego, wprawia go w taką emocyę, iż pudło należy tu do najzwyklejszych rzeczy.

Nie tak wielką jest sztuką strzał trafny do zrywających się w ten sposób ptaków łowieckich, jak zapanowanie nad emocyą i wyrobienie w sobie tej zimnej krwi, w obec której dopiero oko i ręka posłusznie zmierza do celu, korzystając z chwili, w której strzał jest najodpowiedniejszym. Jestem przekonany, iż zdarzają się temperamenty, które mimo najszczerszych chęci nie mogą daleko doprowadzić w rutynie strzałów do ptactwa; łomot i szelest wyprowadza ich zawsze z równowagi, strzelają albo za wcześnie albo za późno i pudłują haniebnie, chociaż są zresztą znakomitymi strzelcami w kniei. Stąd pochodzi, iż łowiectwo ptasie nie obejmuje tak szerokich kół myśliwych jak łowiectwo kniejowe, u pewnych zaś myśliwych przy nadzwyczajnem powodzeniu urasta do szczególnej pasyi, i jest w obec bardzo nieznacznych i wcale niestosunkowych do poniesionego trudu zdobyczy, sportem najczystszej i najprawdziwszej krwi. Koroną tego sportu są łowy na ptactwo błotne, uprawiane przez pewnych myśliwych z taką pasyą, jakiej się nie spotyka w innych dziedzinach łowiectwa.

Podobnie jak słonki, wzlatuje i inne ptactwo ze swego siadła wśród gęstwy leśnej, traw i oczeretów z razu w linii pionowej. Chwila, kiedy ptak osiąga najwyższy punkt tego kierunku, skąd już dalej w linii poziomej leci, jest zarazem najodpowiedniejszą do strzału. Ptactwo wodne, zanim się porwie, wznosi nieco ciało, prostuje się, a odbiwszy się wiosłami o wodę, w ten sposób dopomaga sobie do wzlotu. Niektóre drobne gatunki kaczek czynią to wszystko z taką zgrabnością, iż nie sprawiają przytem żadnego szelestu; ptak wzlatuje, jakby go wiatr uniosł w powietrze, i tylko słabe drgnięcie powierzchni wody wskazuje miejsce, skąd wzleciał. Wielkie gatunki kaczek przeciwnie sprawiają głośny łomot, osobliwie w porze pierzenia się lub nadzwyczajnej w porze jesiennej żerności.

U niektórych naszych ciężkich a krótkoskrzydłych ptaków ziemnych i wodnych wzlecenie odbywa się przy pomocy szczególniejszych jeszcze środków. Ciekawym okazem jest tu zwykły na naszych większych stawach perkoz dwuczuby (*Podiceps cristatus*), ten może jedyny ptak, który nie dla mięsa, bo nie wiem czy by się znalazł amator na to traniaste pieczyste, lecz dla pięknego futerka przedmiot łowów stanowi. Pierś tego ptaka, odziana przepysznem gęstem pierzem srebrzystej barwy, służy za modny i wcale piękny surogat futra w strojach damskich. Wielką jest ta pierś, bo też wielkie kryje muszkuły piersiowe, muszkuły służące do utrzymania w locie ciała bardzo maleńkiemi skrzydełkami, gdyż długość tychże stoi w stosunku do siągu ciała jak 2 : 9. Ciężki ten ptak, chcąc się z wody porwać, uderza skrzydełkami o wodę i znalazłszy dopiero w ten sposób podporę do podniesienia się, silnemi bardzo ruchami skrzydeł leci początkowo ponad samą powierzchnią wody, w locie tym, który wygląda na jakąś kombinacyę lotu z biegiem, dotyka bezustanku lustra wody, nabiera w tym ruchu coraz większej chyżości i wznosi się wreszcie w słabo ukośnej linii. Odbicia te w gęściejszem od powietrza medium w chwili najkrytyczniejszej wzlotu są podobnem ułatwianiem, jak podskoki lub odbijania się nogami o podstawę stałą, któremi inne ptaki lądowe w chwili wzlotu sobie dopomagają.

Dość trudny do ubicia perkoz, zjechany czółnem na strzał, prawie się nigdy nie porywa, jakby wiedział, że długa ta ceremonia pozbawiłaby go życia; natomiast jak kamień przepada we wodzie, nurza się i po niejakim czasie, nieraz kilkadziesiąt kroków podpłynąwszy pod wodą, znów się na powierzchni pokazuje, a zobaczywszy, że niebezpieczeństwo nie minęło, powtarza do znudzenia tę samą praktykę, i oddalając się coraz bardziej od swego prześladowcy, niespodziewanie, gdzieś po za donośnością strzału, do nieudolnego decyduje się wzlotu. Gwałtownie wtenczas porusza się woda w tem miejscu, a jeszcze na kilkanaście kroków znaczy się kierunek lotu na muskanej ciałem powierzchni wody.

Niektóre z naszych ciężkich ptaków nie są znów w stanie wzlecieć ze ziemi bez podbiegania. Dropie podbiegają kilka lub kilkanaście kroków, zanim wzniosą się nad ziemię, dlatego też ptak ten usiada zawsze na miejscach wolnych, gdzie taki podbieg jest możebny. Podbieganie dropia zdaje się być konieczną mechaniczną potrzebą, aby ciężki a krótkoskrzydły ten ptak mógł się wznieść do lotu; wachlując w jednem miejscu skrzydłami, nie osiągnąłby ptak tego efektu mechanicznego, jak wówczas, gdy czyni to w biegu. Wśród biegu napotykają skrzydła coraz to świeże w spoczynku zostające warstwy powietrza i tutaj skuteczniejszy opór znachodzą, ciało w skutek ruchu nabiera siły żywej, tem większej, im ciężar ciała znaczniejszy, a siła ta współdziała przy wzniesieniu się, pomimo, że biorąc rzecz powierzchownie, zdawaćby się mogło, że właśnie ciężar ciała tego ptaka utrudnia mu wzlecenie. Sądzę, że ptak wielkości dropia, mający tylko $^1/_3$ wagi tegoż, nie mógłby wzlecieć przy pomocy tak małych skrzydeł.

Ciężkie i bardzo ceremonialne zrywanie się dropia dało powód do prób chwytania tego ptaka chartami, o czem dość często wspominają pisma zawodowe. Ośmielę się tu jednak wypowiedzieć stanowczo, iż pochwycenie dropia dorosłego chartami jest rzeczą fizycznie niemożebną, podania zaś o czemś podobnem, pomimo, że pochodzą ze stron bardzo wiarygodnych, nie mogą mi przemówić do przekonania, bo własne doświadczenie całkiem co innego dyktuje. Sądzę przeto, że byłaby tu na miejscu i na czasie malutka poprawka, a mianowicie ta, że we wszystkich wypadkach, w których podania mówią o schwytaniu dropia chartem, należałoby dodać, iż były to ptaki albo fizycznie niedojrzałe, albo postrzelone, albo wreszcie jakimś fenomenalnym stanem atmosfery zniedołężnione. Na takie zaś egzemplarze nie trzeba wcale wiatronogich chartów, wystarczy tam byle jaki chwytny pies, jak tego miałem naoczne dowody, ba! wystarczy i kawał kija, gdy podczas pory lęgowej drop, podobnie jak to czynią kuropatwy, przypadnie do ziemi i „zatopi się“ sądząc, że w ten sposób ujdzie niebezpieczeństwu.

Nie chcąc poprzestać na gołosłownem twierdzeniu, iż pościg dropia chartem jest niemożebny, jeżeli rzecz ta od sposobu zrywania się dropia zależy, zwracam uwagę na bezpośrednie spostrzeżenia własne, które znalazłem potwierdzone doświadczeniem znanych charciarzy. Kiedykolwiek zdarzyło mi się dojrzeć w otwartem polu dropia, podsuwałem się jak mogłem, chcąc przyjść do strzału, lecz najczęściej jedynym rezultatem takiego czołgania i suwania była ruina odzieży i zmęczenie, bo dropie przed czasem uleciały. W młodszym wieku nie zastanawiałem się bynajmniej, co tam się w tem stadku dzieje od chwili, gdy mnie ptaki już spostrzegły, a podobna sposobność w późniejszym wieku, gdy widziałem już z góry, że do strzału przyjść nie mogę, zastała już tyle zimnej krwi, że wprawdzie nie z zegarkiem w ręku ale niemniej dokładnie potrafiłem wymiarkować czas, jakiego ptak ten potrzebuje, aby się porwać do lotu. Ze stad liczących od 4 - 12 sztuk w kilku wypadkach po upływie mniej więcej 4 sekund nie pozostał ani jeden ptak na ziemi, licząc czas od chwili, gdy się ptaki ruszać i podbiegać zaczynają. W roku 1889 powtarzałem eksperyment ten na czterech dropiach kilka razy; ptaki widocznie wędrówką zmęczone, zapadały po zerwaniu ciągle w swoim widnokręgu. Po 4 godzinach ciężkiej pracy udało mi się wreszcie z poza grobli ubić jedną sztukę, a był to również tylko ślepy przypadek, bo zręczność myśliwska nie może mieć przecież pretensyi do trafności strzału lotkami na 150 przeszło kroków. Ot, jakiś dobry duch dopomógł!

Wracając teraz do chartów, zapytuję: jakąż to drogę może przebiedz choćby najrączszy chart w 4 sekundach? Wytrwały ten w biegu pies może według dokonanych doświadczeń pędzić całą godzinę z przeciętną chyżością 10 metrów w sekundzie, początkowa zaś chyżość dobrych chartów wynosić może najwyżej 15 metrów w sekundzie, tak, iż w przypuszczeniu, że dropie po rozpoczętej gonitwie chartów zabierają się do zrywania, charty przebiedz by mogły w 4 sekundach co najwięcej 60 metrów, czyli chcąc uszczuć dropie, trzeba by je z psami zejść lub zjechać co najmniej na 60 metrów. Zdaje mi się, że jest to wcale niemożebne, a zatem teoretycznie rzecz biorąc skuteczny pościg chartami staje się także niemożebny.

Na poparcie tych czysto teoretycznych twierdzeń przytaczam dosłownie zdanie ś. p. Ubysza, oparte na bezpośredniem doświadczeniu, a zgadzające się dziwnie z tym moim teoretycznym wywodem (*Łowiec* str. 136. 1880.)

„Tak pełzając owsami, to po za półkopkami, udało mi się podejść żerujące dropie może na 150 kroków... Charty doszły do dropi może na 50 kroków i w tej chwili zerwały się one...“ „Po latach kilku próbowałem znów szczuć dropie, lecz również bez skutku, i jestem pewny, że gdybym nawet na 50 kroków do nich zbliżyć się potrafił, poszczuć i wziąść się nie dadzą.“ Tu ś. p. autor wpada nieco w przesadę, twierdząc zarazem, iż dropie zrywały się jak kaczki szybko i lekko i nie potrzebowały kilku lub kilkunastu robić kroków, ale naraz z miejsca wzbiły się w górę“ — tak, jakby w mowie będące dropie były jakimś wyjątkowym gatunkiem.

Że ptak w pewnych chwilach zdolnym jest do wykonania nadzwyczajnych ewolucyj, tego nie przeczę, jednak i tutaj pozostaje on w pewnych granicach, jakie mu zakreśla fizyczna możność ustroju.

Jeden z doświadczonych na naszem Podolu na dropie myśliwych tak scenę zrywania się stada opisuje: „Przy grożącem niebezpieczeństwie dowódzca stada najpierw się strzepie, a wtedy całe stado ma się na ostrożności, potem od strony niebezpieczeństwa wyciąga w tył nogę, a później skrzydło, nareszcie rozwija obydwa skrzydła i macha niemi raz albo dwa razy. Jest to znak najpewniejszy, że za kilka sekund dowódzca najpierw, a za nim całe stado wzleci.“ Odległość, w jakiej dropie już zrywać się poczynają, zależy z pewnością od stopnia zaniepokojenia i ostrzelania w jakiejś okolicy, w każdym jednak razie dziedzicznie ostrożny ten ptak zrywa się co najmniej w takiej odległości, iż skuteczny do niego strzał śrutem do rzadkości należy, tem bardziej, że twarde opierzenie i gruba muszkulatura chroni części szlachetniejsze.

Rozpisałem się może za długo o zrywaniu się ptaka, będącego stałem zjawiskiem we wschodnich częściach kraju, jednak należało się to najpiękniejszemu okazowi ptactwa łowieckiego, a cel, który tu miałem na oku, niechaj tłumaczy rozwlekłość. Pragnąłem uwolnić przyszłe podręczniki myśliwstwa od śmiesznego balastu, jakim są opisy łowów z chartami na dropie, lub wzmianki o czemś podobnem z połowiczną w nie wiarą autora.

Podobnie jak drop, dopomaga sobie w zrywaniu i kulon (*Oedicnemus crepitans*) nietyle u nas rzadki w piaszczystych pustych okolicach, ile mało widywany, a jeszcze mniej poszukiwany dla lichoty mięsa. Wynosi się przed myśliwym biegiem, przyczem niby struś skrzydłami wachluje, wreszcie wzlatuje i po niedługim locie znów zapada.

Bardzo często nazywają u nas wielkiego kuliga (*Numenius arquatus*) kulonem, zdawałoby się zatem, iż kulony w całym kraju do pospolitego należą ptactwa, tak jednak nie jest i podczas gdy kuligi wielkie w przelotach pojawiają się w całym kraju, kulon jest dość smutnym a wyłącznym gościem tych upośledzonych pod każdym względem okolic, którym niczego zazdrościć nie można.

(C. d. n.)

DON PEDRO

Wspomnienie z podróży F. C. Kellera.

(Z niemieckiego).

Przed laty biwakowałem jako myśliwy w samem sercu gór pyrenejskich. Mała połoninka dostarczała zaledwo tyle miejsca, ażeby rozbić namioty i dać się przejść swobodnie naszym jucznym zwierzętom. U stóp terasowego wzniesienia śmiało się w blaskach słońca górskie jezioro, do którego spadał z szumem w tysiącznych kaskadach potok pełen pstrągów. Poza nami wznosiła swój demonicznie śliczny wierzch „Maladetta“, królowa Pyrenejów.

Pewnego wieczora siedziałem przed namiotem, zapatrzony całkowicie w romantycznym krajobrazie. Powierzchnia jeziora, nie zmarszczona i najlżejszym podmuchem, widniała przedemną jak płyta stopionego metalu: od czasu do czasu wybuchała tylko fontanną dyamentów, gdy ponad lustro wody wyskoczyła rybka, uchodząca przed prześladowcą. Potok skakał po kamieniach i rzucał się wesoło w małych wodospadach. Nieskończenie delikatny, błękitnawy opar otulał olbrzymią Maladettę, a na szczytach jej ukazywały się pierwsze połyski zorzy zachodniej. I coraz żywiej poczęły się ślizgać różnobarwne światła po szarych ścianach skał i wiecznych śniegach, pojąc wzrok prawdziwie czarownemi obrazy.

Dwaj moi towarzysze wrócili właśnie ze zdobyczą myśliwską do obozu, gdy wtem ukazał się od jeziora nieznany mężczyzna, który do naszej wyprawy myśliwskiej nie należał. Szedł pewnym krokiem wprost na nasz obóz. Któżby to mógł być? W tej dziczy skalistej nie nawykło oko spotykać obcego człowieka. Z wytężeniem więc przyglądałem się nadchodzącemu mężczyźnie.

Zbliżywszy się na parę kroków, zlustrował nieznajomy bystrem okiem nas trzech myśliwych, przystąpił potem ku mnie, powitał uprzejmie i rzekł:

— Pan jesteś tym Niemcem, który przybył tu do naszych gór, aby polować na izardy i kabramonty.*)

Gdym domysł jego potwierdził, tak mówił dalej:

— Szedłem w trop za panem, aby pana znaleźć. Może będę mógł stać się panu pożytecznym, jeśli mnie pan przyjmiesz za towarzysza. Nazywam się Pedro.

Pedro był dobrze odziany, miał strzelbę na ramieniu a u boku kordelas wytwornej roboty. Z miłej twarzy jego okolonej słabym, ciemnym zarostem, wyglądała para czarnych, śmiałych oczu. Delikatne ręce i pewność ruchów dowodziły, że nie mam przed sobą ani przemytnika ani bandyty.

W podróżach mych znajdywałem się nieraz w tem położeniu, żem przyjmował do służby ludzi, którzy nie byli wcale rycerzami cnoty; wiedziałem, że broń ochroni mnie od ewentualnego napadu. Cóż mi więc szkodziło wejść w stosunek i z tym oryginalnym towarzyszem?

Wdzięcznem spojrzeniem podziękował mi za odpowiedź przychylną, a biorąc się natychmiast do roboty, obielił tak zręcznie przyniesionego właśnie koziorożca, jak to tylko zawodowy myśliwy uczynić potrafi. Potem zjadł bez wszelkich korowodów z mymi strzelcami wieczerzę, i zawinąwszy się w swą derkę. ułożył się do snu.

W ciągu następnych dni miałem sposobność poznać zuchwałą odwagę i wytrwałość tego młodego człowieka. Mówił mało, chociaż nie był mrukliwym, ale ze strzelcami nie zapuszczał się w bliższą komitywę. Ta pewna wyniosłość spowodowała, iż go nazwali „Don Pedro“.

Upłynęło kilka tygodni. Don Pedro oddawał mi nadzwyczajne usługi, nie chełpiąc się swemi czynami, jakto Hiszpanie czynić zwykli.

Pewnego dnia nie wrócił o zwykłej godzinie na nocleg. Strzelcy rzekli mi, że go widzieli w godzinach popołudniowych, jak się wspinał zuchwale na turnie za stadkiem izardów. Strzeliłem na znak. Echo rozbiło się po skałach, ale nie nastąpiła umówiona odpowiedź: strzały z obu rurek. Widocznie Don Pedra spotkało nieszczęście.

Następnego poranku rzuciliśmy się na poszukiwania. Niestety, znaleźliśmy nieszczęśliwego w przepaści z roztrzaskanemi członkami. Ześliznął się widocznie z bardzo wysokiej ściany i zginął na miejscu.

*) *Isard* = kozica iberyjska; *Cabramonte* = koziorożec.

Na szybko zaimprowizowanych marach przynieśliśmy Don Pedra do obozu. Ściągnąłem mu z palca pierścionek złoty, przedstawiający zwiniętego węża. Jako oczka błyszczały dwa prawdziwe brylanciki. Obok pieniędzy w kieszeni znaleźliśmy zmiętą karteczkę, a niej po hiszpańsku następujące wyrazy: „Drogi Pedro! Wszystko odkryto! Uciekaj! Uciekaj jak możesz najprędzej! Blanka".

I to było wszystko.

Skąd ten człowiek przyszedł? Kim był? Na te pytania nikt nie umiał dać odpowiedzi. Wykopaliśmy tedy grób u stóp majestatycznej Maladetty, ozdobiliśmy odważnego strzelca świeżemi gałęziami i pochowaliśmy go w chłodnej ziemi. Zamiast głosu dzwonów, rozbijała się daleko wśród skał fanfara trąbki myśliwskiej, i wszyscy mieliśmy łzy w oczach. Grubo ociosany krzyż zatknęliśmy na świeżej mogile z wyrazami: „Spij spokojnie, ty cichy druhu! Tu nie zakłóci żaden człowiek twego snu wiecznego."

W kilka dni potem zwinęliśmy nasz obóz. Don Pedro pozostał sam na wysokiej połonince wśród gór, a często wracała myśl moja do niego i do smutnej jego doli.

* * *

Minęły trzy lata. Znowu zaniosło mnie w głąb przepysznych Pyrenejów. Po dzikiem niemal biwakowaniu myśliwskiem, dotarłem do Bagneres i postanowiłem odpocząć tu nieco i zrestaurować nadszarpane siły.

Bagneres, jeszcze przed trzydziestu laty nędzna wioszczyna, przedzierzgnęło się dzięki kaprysowi arystokracyi francuskiej w istny raj i stało się punktem zbornym wszystkiego co szykowne. Tu, pośród egzotycznych gajów, wśród wspaniałych ogrodów i will, daje sobie *rendez-vous* cały wielki świat, i szuka wraz z przyjaciółmi schronienia na upały letnie.

Przybycie „niemieckiego niedźwiedzia" wprowadziło nieco odmiany w zwykły tok sezonowy. Szukano znajomości ze mną i przedstawiano mnie honoracyorom tej letniej kolonii.

Królową całego towarzystwa była hrabina Blanka, bujna brunetka, mająca już nieco za sobą lata pierwszej młodości, ale zachwycająca swemi wspaniałemi kształtami, wzrokiem uwodzicielskim i doprowadzoną do doskonałości sztuką podobania się. Gromadziła też i więziła około swej osoby cały świat męski w Bagneres.

Była to *beauté de diable*, pełna manier wielkopańskich i niedostępna, to znów szalenie wesoła, albo melancholiczna, jak tego okoliczności wymagały, ale zawsze bardzo interesująca. Zajmowały ją szczególniej moje wyprawy pyrenejskie.

Pewnego dnia, gdym się schronił przed upalnemi promieniami słońca do cienistego kiosku, stanęła nagle przedemną hrabina Blanca, a zająwszy obok mnie miejsce, poczęła znów — mówiąc tym razem wyjątkowo po hiszpańsku — wywiadywać się o moje przygody. Szczególnie stłumionym głosem spytała mnie, czy w czasie mej ostatniej podróży nie spotkałem jakiego obcego myśliwca. Gdym rzekł, że tak jest, pobladła jak marmur, a potem znów się okryła purpurowym rumieńcem. Wszystko się zgadzało. Człowiekiem, który w tak wysokim stopniu interesował hrabinę, musiał być Don Pedro. A gdy coraz usilniej o szczegóły wypytywała, opowiedziałem jej o smutnym zgonie Pedra i o cichej jego mogile u stóp Maladetty.

Łkanie pełne boleści wtrząsnęło ciałem hrabiny. Na pytanie, dlaczego ją los Don Pedra tak żywo interesuje, rzuciła na mnie wzrokiem załzawionym i błagającym. Umilkłem.

Po chwili milczenia zapytała nagle:

— Czem pan możesz opowiadanie swoje potwierdzić?

— Tem tutaj! — odparłem, wyjmując z kieszonki pierścionek w kształcie węża z dwoma oczkami brylantowemi, i zmiętą kartkę papieru.

Hrabina Blanka była bliską omdlenia. Kurczowo pochwyciła dwie nieme pamiątki, błagając:

— Zostaw mi je pan, mam do nich prawo.

Niemym ukłonem dałem znak przyzwolenia i opuściłem kiosk, zostawiając hrabinę wraz z jej boleścią.

Tego wieczora nie pokazywała się hrabina wcale, ku wielkiemu strapieniu młodzieży. Lecz następnego poranku było całe Bagneres w niezwykłem poruszeniu. Hrabinę Blankę, tę dumną lwicę sezonu, znaleziono martwą w jej budoarze. Flaszeczka z resztą sinku potasowego, dozwalała się domyślać powodu śmierci.

Tajemnicę, która ją do tego kroku rozpaczy skłoniła, zabrała dumna piękność wraz z sobą do grobu.

KILKA SŁÓW
w sprawie hodowli jamników i terierów.

Poruszam sprawę, która powinnaby obudzić żywszy interes łowieckich kół w kraju. Krzątają się tu około zawiązania austro-węgierskiego klubu dla jamników i foxterrierów (*Oesterr. ungar. Erdhundclub*), a jeden z głównych inicyatorów, p. Józef Frank, ogłosił w tej mierze następującą odezwę:

„Ruch kynologiczny, który od lat kilku na całym kontynencie się obudził, doprowadził w Niemczech, w Belgii i Holandii do bardzo pokaźnych już rezultatów, i w szczególności nakłonił wielu do intenzywnej hodowli rozmaitych ras psich. Od czasu bardzo niedawnego obudził się ten ruch i w Austryi, a chociaż to od niedawna, przecież rozwija się — i to niewątpliwie najważniejsza.

Jeżeli jednak do pomienionych krajów, a w szczególności do Anglii się zwrócimy, to ujrzymy, że widoczny postęp w hodowli psów dopiero wtenczas się ukazał, gdy się tam kluby specyalne w celu tym pozawiązywały. Idea podziału pracy w naszym wieku w ogóle stanowi jedno z naj-

ważniejszych znamion tegoż, a więc i kynologiczne usiłowania nie mogą tu stanowić wyjątku; i nikt nie zechce zaprzeczyć, że stowarzyszenie hodowców i przyjaciół jednej rasy, choćby nawet ze skromnym zapasem fachowych wiadomości i odrobiną ofiarności pieniężnej, stokroć więcej dla tejże rasy uczynić zdoła, niż ogólne towarzystwo kynologiczne, choćby wyposażone najlepszemi chęciami i najlepszą metodą działania. Zainteresowanie się rzeczą, które się ma jako członek ogólnego klubu, może także być tylko ogólnem, a kto tylko kiesę swoją otwiera (konieczność owego „*nervus rerum*“ i w kynologii niestety nie czyni wyjątku!) musi przyznać, że on tem chów „swojej rasy“ tylko bardzo niedostatecznie wspiera, bo z jego i z wielu innych wkładek przypada na nią tylko pewna cząstka. Nie myślę jednak dowodzić, że ogólne towarzystwa dla hodowli psów wcale nie są potrzebne. Owszem, nie mogłoby się bez nich wcale obejść, ponieważ one winny stanowić centrum, jakby poniekąd wyższą władzę, która stoi nad pojedynczemi klubami, niestety, często tylko partyami specyalnemi. Te towarzystwa ogólne winny urządzać wystawy ogólne i mają dla naszych sportowych i myśliwskich celów zawsze nowych przyjaciół w coraz większej ilości pozyskiwać.

Lecz opiekować się ze skutkiem pojedynczemi rasami, to rzecz klubów specyalnych, a zatem wszędzie tam należy je zakładać, gdzie się znajdzie odpowiedni materyał i gronko passyonowanych hodowców.

Oprócz dotąd wzmiankowanego pożytku, mają towarzystwa specyalne wiele innych jeszcze zalet. Wprawdzie i bez tych towarzystw jest możliwem albo przez importowanie, albo przez umiejętną hodowlę dojść do pięknych rezultatów, mając jednak praktyczność na oku, możemy skonstatować za granicą, jakto hodowla pewnych ras przed zawiązaniem specyalnych klubów wyglądała i jak dziś, po ich zawiązaniu wygląda. Przez zawiązanie towarzystwa specyalnego wzmaga się zainteresowanie członków tegoż i wszyscy dążą do celu ze spokojną emulacyą. Dzięki uszlachetnieniu i wzmocnienie specyalnej rasy, mogą i biedniejsi a niemniej zapaleni hodowcy tejże zadowolnić swoje upodobania. Coraz więcej psów rozpłodowych jest na usługi członków klubu i to najpierwszego rodu, których usługi członkowie tanim kosztem i za zniżoną zwykle cenę mogą sobie zapewnić. Przez to, że specyalne kluby przy ogólnych wystawach i ze swojej strony materyalnie te wystawy wspierają i nawet własne nagrody wyznaczają, są wszyscy w stanie z większą korzyścią dla siebie i dla innych te wystawy obsyłać. Klub specyalny powinien przy ogólnych wystawach specyalną opieką własną rasę otaczać i powinien tem ewentualnie się zająć, wziąwszy na siebie część kosztów, aby tylko znawcy pierwszego rzędu, choćby zdaleka, sędziami byli mianowani. Klub nadto zajmuje się tem, aby dokładne rejestra nazwisk psów tej rasy były utrzymywane, które służą najprzód jako niezawodny poradnik, a z czasem zamieniają się na genealogiczny spis rodów psich danej rasy.

Dobrze prowadzony i kierowany klub specyalny ma również za zadanie powiadamiać członków swoich okólnikami o wszystkiem, co się w zakresie hodowli jego rasy dzieje.

Jak tylko siły klubu się wzmocnią, powinien klub przystępować do urządzania wystaw specyalnych, które, jak wiadomo, bardziej niż co innego hodowlę podnoszą. Nie można także nie zauważyć, że nie ma dla małego i początkującego hodowcy większego niebezpieczeństwa, jak kupowanie materyału hodowlanego od zupełnie nieznanych osób. Kto na wystawy nie uczęszcza, musi się na reklamę gazeciarską spuszczać; nie jest w stanie poznać się na genealogii tych okazów, i gdy się potem publicznie z nowemi zdobyczami swemi ukaże, przychodzi rozczarowanie, które często jest powodem, że biedny hodowca, zamiast sam uznać, iż został oszukanym, narzeka na sędziów, i zwykle idzie za tem zniechęcenie do całej hodowli.

Największy pożytek klubu specyalnego, okazuje się właśnie w tem, że on stanowi największą obronę przeciw oszustom.

Klub uważa za swoją najświętszą powinność trzymać się z dala od wszelkich nieczystych źródeł; zawsze znajdywać się powinien w statutach klubu paragraf, że wszelkie nierzetelności przy kupnie i sprzedaży psów pociągają za sobą wykluczenie z towarzystwa. Miłośnicy danej rasy powinni zatem tylko u członków specyalnego klubu zakupna robić, skoro takowy dla tej rasy egzystuje.

To co dotąd powiedziałem, powinnoby wystarczyć, aby wszystkich o pożyteczności klubów specyalnych przekonać; żeby jednak dać i jakiś pozytywniejszy przykład tej pożyteczności, pamiętny starego przysłowia: *exempla trahunt*, zwrócę uwagę na znakomite zdobycze austryackiego klubu dla krótkowłosych legawców, *Oesterreichischer kurzhar-Club*, który w przeciągu jednego roku zawdzięcza swej doskonałej organizacyi niezwykły swój rozwój. Klub ten w Austryi utworzony i z obywateli austryackich złożony, dowodzi całemu zastępowi niedowiarków, że i w Austryi może się coś udać, jak tylko się chce.

Jak wiadomo, postanowiło na wystawie psów w Budwicach kilku pasyonowanych hodowców jamników założyć klub dla tej rasy psiej. Po niejakim czasie atoli zaczęto wątpić, czy się znajdzie dostateczny materyał, aby módz z pewnym skutkiem przystąpić do założenia wzmiankowanego klubu. Trzeba bowiem przyznać, że początkowe nieudanie się jakiejś rzeczy na długi bardzo czas jej szkodzi i nie da się tak łatwo zapomnieć.

Z tego nierozwiązanego dylematu wyrwało mnie, projektowanego prezydenta projektowanego klubu, oświadczenie kilku znanych tutejszych hodowców fox-terrierów, którzy mi powiedzieli i przyrzekli, że w razie założenia wspólnego klubu dla jamników i fox-terrierów tj. dla obu ras psów ziemnych, (*gemeinsamer Erdhund-Club*), oni by się ze swojemi taborami do nas przyłączyli.

Zdaniem mojem konkurencya tych dwóch w pracy ziemnej tak wytrwałych i doskonałych ras nie jest szkodliwą, ale raczej pożyteczną. Chodzi tylko o to, żeby zająć przedmiotowe stanowisko. Gdyby teraz dla obu ras odrębne towarzystwa zostały założone, to powodzenie byłoby co najmniej niepewne; niewątpliwie szkodziłyby sobie wzajemnie dwa bardzo słabe kluby i osłabiałyby się zamiast się wspomagać. O ile mnie się zdaje, najlepszą metodą pozbycia się nieprzyjaciela, jest mianowanie go sojusznikiem. Chociaż w Niemczech harmonia obu klubów dla jamników i dla fox-terierów przynajmniej na zewnątrz ściśle zachowaną bywa, to przecież odbywa się tam zajadła konkurencya między temi dwoma rasami z niewielkim pożytkiem dla wzmiankowanych klubów. My zaś chcemy cudzoziemcom pokazać, jak to się tak niebezpieczną rywalizacyę z wspólnym pożytkiem i najprościej w świecie usuwa. Tylko w jedności jest siła. Tylko wtedy, gdy hodowcy jamników i terrierów w zgodzie się zjednoczą i w zgodzie wspólnie pracować będą, da się obu rasom ziemnym zapewnić odpowiedne stanowisko, takie, jakiem ono u nas, w kraju łowieckim, być powinno. Do

pierwszych punktów programu naszego klubu powinno należeć obsyłanie ogólnych wystaw psich w Austryi i odbywanie własnych, dla jednej i drugiej rasy, łączenie ich z próbami zdolności, staranie się o dobrych jurorów i założenie imiennego rejestru.

Wzywam więc wszystkich, którzy się obiema rasami ziemnemi interesują, aby ewentualne swe oświadczenia przystąpienia do klubu jak najprędzej do mnie nadsyłali, aby jaknajprędzej wszystkie nasze siły mogły być skonsygnowane. Po naradzeniu się z kilkoma miłośnikami, którzy się rzeczą tą bardzo interesują, możnaby przystąpić do założenia klubu, a radziłbym prezydyum tak urządzić, żeby wspólny przewodniczący klub na zewnątrz zastępował, wspierany zaś był przez dwóch wiceprezesów, z których jeden nad oddziałem jamników, drugi zaś nad oddziałem terrierów miałby poruczoną pieczę.

Członkowie byliby podzieleni na cztery kategorye, tj. na *a)* Członków honorowych; *b)* Członków założycieli z wkładką 50 zł.; *c)* Członków zwykłych z wkładką 8 do 10 zł., i *d)* Członków należących do strzelców zawodowych *(Berufsjägermitglieder)* z wkładką 2 zł. w. a.

Wkładka 10 zł. wydaje się w pierwszej chwili za wysoką, ale właśnie na początku, gdy liczba członków nie jest wysoką, a środki pieniężne bardzo są potrzebne, nie można w żaden sposób wkładki tej niżej naznaczać.

Zaliczenie tych punktów do statutów powstającego towarzystwa musi naturalnie nastąpić przez zgromadzenie konstytuujące, którebym — w razie gdyby już w ciągu lutego dość oświadczeń o przystąpieniu do klubu nadeszło — koło świąt Wielkanocnych do Wiednia powołał.

Josef Ritter von Franck, Graz — Heinrichsgasse, 95".

Przytoczywszy odezwę w całej swej rozciągłości, nie mam co do niej dodać. Mniemam tylko, że dla Galicyi, gdzie jest jeszcze zawsze tak dużo jam lisich i borsuczych do przeszukania, i gdzie też tak wielu myśliwych jamniki hoduje, może być rzeczą nieobojętną przystępowanie do specyalnego klubu jamników i foxterierów, ażeby sobie z pierwszej ręki doborowy materyał hodowlany zapewnić.

Grac 22 lutego 1894.

Jerzy hr. Wodzicki.

KORESPONDENCYE.

Lwów w lutym.

(Skromność jako znamię wielkości.)

Tytulik powyższy zastosowuję do polowań Radziechowskich, z których rzadko kiedy miewacie sprawozdania. „Lecz doniósł to szpieg szatanowi" więc piszę:

Otóż dnia 18. lutego zaczęło się polowanie w Radziechowie i trwało dni 5. w strzelb pięć. Zwierzyna roiła się w każdym miocie, a ponieważ był zapowiedziany pierwszy strzał do dzika, więc w błogiej nadziei spotkania się z dzikiem puszczano resztę samopas. Rzecz naturalna, że „Lepusy", zaasekurowane ustawą, wyprawiały formalną igraszkę: po trzy razem za jedną bieżali, i to sprawiało niektórym wiele emocyi, która jest właściwym bodźcem każdego polowania, i którą też gardzi semita, bo nie przynosi żadnego zysku.

Polowanie prowadził p. Zdzisław Skrzyński, który odbył studya w szkole wyższej, a znanej. Za lat 20 niezawodnie będzie niewyczerpany w swych wspomnieniach — i słusznie, bo zaginą tego rodzaju myśliwi i polowania razem z borami galicyjskiemi. — Ubito w 5 strzelb — w dni 5. 18 dzików, 37 rogaczy i 6 lisów. Nie wymieniamy tu chybnych strzałów do dzików, a były i takie, które na 6 strzałów nie straciły i „piórka". Gdyby nie pudła, byłoby padło 28 dzików, bo pora sprzyjała.

„Master Lupus" uszedł boczkiem bezpiecznie bez strzału — bo od wczesnego ranka wiedział o polowaniu — i tylko przy nadzwyczajnej przebiegłości myśliwego, możnaby go było capnąć.

Sam gospodarz, nieusposobiony do rozrywek, bo dotknięty ciężkim smutkiem, towarzyszył drużynie.

Od siebie muszę dodać, iż przy umiejętnem prowadzeniu łowiectwa Radziechowskiego może się tam wytworzyć eldorado — do którego i panujących wartoby zapraszać.

Najstarszy Wyga.

We Lwowie 31. stycznia 1894.

(Z Medynickich lasów.)

W dniach 19. i 20. stycznia odbyło się w państwie Medynickiem, w rewirach Letnia i Bilcze, polowanie urządzone przez p. Józefa Frenkla współwłaściciela wspomnianych dóbr.

Nieliczna drużyna myśliwska przybyła 19. rannym pociągiem stryjskim do Zawadowa, skąd furami udali się wszyscy do rewiru Letni, działu Zapust, słynnego z wielkiej ilości zajęcy. Po krótkiej przekąsce, spożytej w gustownie ze szpilkowej zieleni urządzonym baraku, zaczęliśmy polować i w tym dniu padło trzydzieści sześć zajęcy, cztery lisy i sześć kozłów. Zauważyć należy, że polowanie byłoby wypadło pod względem ilości ubitych zajęcy daleko lepiej, gdyby nie odwilż, która zacne nasze kopyry wypędziła w pole, tak, że z pewnością $^1/_3$ część zajęcy używała wczasu w polu. Nader liczną, bo 180 ludzi liczącą nagonką, w dwóch falangach zorganizowaną, kierował świetnie letniański leśniczy p. Ostafiński, a właśnie postanowieniu gospodarza p. J. F., by polować z dwiema nagonkami, zawdzięczają uczestnicy polowania, że od godziny 12-tej do zmierzchu wzięli ośm rozległych miotów.

W polowaniu wziął udział arcyksiążę Leopold Salwator z p. bar. Lazarinim, prócz niego zaś pp. pułkownik brygadyer Teinzmann, podpułkownik Glass, major Wurm, rotmistrz Marglowsky, porucznicy Kögl i Wiedeń, p. Piegłowski, Smutny, Firlej, Fellner i podpisany.

Po przespaniu na leśnictwie w Letni, jednej części, (mówię „części" nocy gdyż drugą część zabrały tarok i wist), udała się myśliwska drużyna dnia drugiego do Bilcza, a tam już nie z nadzieją mordowania zająca, ale z pewnością zajrzenia w ślepie odyńca, gdy go psy dobrze zaatakują.

Rozległy rewir Bilcze nastręczył, zwłaszcza na prawie pstrej stopie, dosyć wiele trudności w otropieniu dzików,

które raz w tej to znów w innej stronie koczowały. Ale stary praktyk, leśniczy Mugler, w kilku miotach przecież wypenetrował dziki, więc każdemu miło się robiło na myśl samą spotkania się z niemi i ochoczo patrzył na trzy doskonałe pieski, przyprowadzone z letniańskiego leśnictwa.

Miot pierwszy wzięto bez skutku, stado dzicze bowiem już przy obstawianiu miotu przez myśliwych uszło na flankę. Dopiero w miocie drugim wpadły psy na stado z 8-u sztuk złożone i wybrawszy rocznego podświnka zaczęły z nim taniec. W krótkim czasie krwawo lecz bez strzału historya się zakończyła, arcyksiąże bowiem, prowadzony ze swego stanowiska w miot przez p. Józefa Frenkla, skłuł trzymanego przez psy dzika nader zręcznem pchnięciem kordelasa w serce.

Dnia tego ubito prócz tego, jeszcze jednego dzika — trzyletnią loszkę (ubił p. Piegłowski), dwa kozły, trzy zające i lisa. Przy końcu zaś polowania złapała nagonka trzechletniego rogacza, któremu arcyksiąże darował życie, gdy go jednak rozwiązano i puszczono, okazało się, że krzyże ma zwichnięte, wskutek czego trzeba go było dokłuć kordelasem.

Podczas dwudniowego polowania ubił arcyksiąże oprócz zakłutego dzika 7 zajęcy i lisa. Z uczestników zaś nie było nikogo, któryby nie strzelał kilka razy, która to okoliczność łącznie z serdecznem, gościnnem przyjęciem sprawiła, że dwudniowe polowanie w Letni i Bilczu w miłej pozostanie pamięci. *L. G. Dziubiński.*

Lwów d. 15. lutego 1894.

(Z kniei miejskiej.)

W dobrach do miasta Lwowa należących, których powierzchnia przeszło 4.000 hektarów obejmuje, wydzierżawione jest prawo polowania „Towarzystwu myśliwskiemu miejskiemu“ już od lat około 40

Od lat 10. podnosi się zwierzostan stale, zwłaszcza co do zajęcy, tak, że obecnie podwójna ilość zajęcy ubitą zostaje w ciągu sezonu myśliwskiego.

Ten pomyślny wynik, przypisać należy bez wątpienia racyonalnej gospodarce Wydziału Towarzystwa. Ograniczenie polowań do możliwego minimum, wykluczenie zupełne polowań urządzanych przez pojedynczych członków towarzystwa, karmienie zwierzyny w zimie, tępienie lisów, zabiegi czynione energicznie co do kłusownictwa, i t. d., sprowadziły pomyślny rozwój myśliwstwa w lasach miejskich. Dodać należy, że starania Wydziału doznają silnego poparcia ze strony personalu lasowego gminy miasta Lwowa, który zawsze chętnie idzie na rękę dzierżawcom polowania, jeżeli chodzi o pielęgnowanie i ochronę zwierzyny, w ogóle o interes polowania.

W sezonie 1893—1894 ubito na 16 polowaniach gremialnych urządzonych z nagonką:

11 kozłów, 227 zajęcy, 13 lisów, 1 borsuka i 20 słonek, razem 272 sztuk. *R. Schupp,*
inspektor lasów miejskich.

Tarnów 1. lutego 1894.

(Z kniei tarnowskich.)

Po zamknięciu sezonu myśliwskiego pospieszam przesłać następujące sprawozdanie:

W ogólności rok ten nie odznaczał się obfitością zwierzyny w naszej okolicy. W żyznych ziemiach nad rzekami, a głównie nad Dunajcem, wytopiły wody znaczną ilość tak zajęcy, jak i sarn. Siuty, szczególnie z kicami, giną regularnie w czasie wylewów w łozach, w ulubionych dla nich stanowiskach, gdyż zwykle pozostają na nieco wyższych miejscach tak długo, dopóki ich woda nie zabierze. Rogacz zaś puszczając się w pław, o wiele łatwiej się ratuje.

Lis prawie zawsze uchodzi śmierci w czasie wylewów, gdyż albo zawczasu opuszcza terytoryum inundacyjne, albo też, wydrapawszy się na jaką starą wierzbę, wyczekuje opadu wód.

Na wyższych przeto polach piaskowych mieliśmy w tym roku o wiele więcej zajęcy, niż w nadbrzeżnych równiach, a ponieważ dotychczas nie było większego śniegu, więc i zające nie ciągnęły do chałup, gdzie zwykle w siatki druciane wpadają.

Kuropatw jest od kilku lat śnieżnych, w czasie których zostały prawie do szczętu przez kłusowników wyłapane, bardzo mało. Nie strzelamy ich wcale, owszem, nawet je karmimy, a mimo to stan tej tak ważnej zwierzyny dotąd nie podnosi się. Sarn jest u nas dosyć, gdyż w lasach i łozach księcia Marszałka starannie pielęgnowane, rozmnażają się i rozchodzą po całej okolicy.

Lisów jest, jak zwykle, aż zanadto. Choć się je w tem lub owem miejscu wytępi, wkrótce nowy pojawia się zastęp.

Zimowe polowania księcia Marszałka nie wydały świetnych rezultatów. Polowało się nie wszędzie i to jeszcze w bardzo niedogodnym czasie. To też zabito na tych polowaniach zaledwo 587 zajęcy, 27 rogaczy i 40 lisów.

Że tak mała liczba rogaczy zabitą została, to winę muszę przypisać głównie strzelcom, z których wielu, nie poznawszy dobrze rogacza, przepuszcza go.

W przeciągu ostatniego roku zabito w dobrach księcia Marszałka następującą ilość szkodliwej zwierzyny, a mianowicie:

Wyder 4, lisów 55, kun, tchórzów i łasic 15, psów 110, kotów 119, orłów (*naevia* i *pand on*) 17, jastrzębi i innych drapieżców 99, kruków 44, wron 1.356, srok 996, czapli 22, perkozów (*Podiceps cristatus*) 11.

Szczególnych zdarzeń na polowaniach nie było. Zabito tylko dwa oryginalne zające, a mianowicie jednego z białą łysiną, u konia zwykle latarnią zwaną, drugiego zaś z wyrośniętemi z dolnej szczęki dwoma siekaczami w kształcie kłów o długości 4-centymetrowej. Biedak ten miał i w górnej szczęce nienormalne zęby, a ponieważ był prawie zupełnie zagłodzony, został przeto rękami schwytany. Obydwa te oryginały będą na tegorocznej wystawie we Lwowie.

Z dzików nic tego roku się nie pokazało w lasach księcia Marszałka. W lasach zaś Szczepanowskich, do pana Żaby należących, zabito w jednym dniu 2 ciężkie odyńce.

Delegat.

Radłów w lutym.

(Z ostatniego sezonu.)

Sezon ubiegły nic nader ciekawego nie dostarcza do zanotowania; ograniczam się więc jedynie do cyfr ubitej zwierzyny. I tak padło: rogaczy 27, zajęcy 265, kuropatw 38, kaczek 17, kulonów 1, słonek 3, kszyków 41, przepiórek 103, lisów 17, psów 11, kotów 9, łasic 4, jastrzębi 12, wron i srok 121, razem sztuk 669. Dodać jeszcze winienem, że pewna część wyżej podanej zwierzyny mieścić się już musi

w sprawozdaniu z dóbr ks. Marszałka, który większą część polowań w dobrach Radłowskich na lat 6 wydzierżawił.

Z sąsiedztwa donieść mogę, że jak zawsze świetne wyniki zabiegów i starannej ochrony zwierzyny, okazały się u p. Mikołajewicza Miętty, u którego w Woli przemykowskiej, gdzie polowano w polu i brano kociołki, padło na dziesięć strzelb 52 zajęcy i 1 lis, zaś w Zdrochcu ubito 20 zajęcy i kota.

Bliższych szczegółów o polowaniach u p. Władysława Dąbskiego w Zaborowie niemam, atoli wiem, że były świetne. Zwierz tak w kniei jak w polu gęsty, a doznaje starannej opieki. Pominąć nie mogę i owych historycznych dwu zajęcy u p. G. w W., o których w roku przeszłym donosiłem. Owóż na polowaniu, które się w styczniu w sześć strzelb odbyło, ród zajęczy został tam z listy istniejących wykreślony, gdyż 2. mówię „dwa“ szaraki padły ofiarą. Będzie to atoli dla właściciela polowania o tyle pociechą, że może z tymi dwoma szarakami wyginie nareszcie sławny kąt kłusowników, którym niemal wszystko płazem puszczano. Herszt tego, jak na tamtą okolicę nie bardzo intratnego przedsiębiorstwa, za kilkunastokrotne przydybanie na gorącym uczynku, został aż 24-godzinnym aresztem ukarany.

W końcu dodaję, że jakkolwiek zima u nas tak łagogna i bezśnieżna pozwalałaby przypuszczać, iż dla zwierzyny jest korzystną, to przecież zdaje się, iż tak nie jest, bo w rewirach znaleziono dotąd 7 sztuk padłych sarn, a sekcya okazała, że były niemal wszystkie chore na wątrobę, i miały na niej wrzody z glistą (*Leb rigel*). *L. D.*

Z nad Biały 15 lutego 1894.

(Relacya wcale nie wesoła).

Ktokolwiek przejeżdżał koleją prowadzącą z Tarnowa do Stróż, w okolicy położonej nad rzeką Białą, przyznać musi, że jest to jedna z ładniejszych okolic naszego kraju. Gęsto rozsiane dwory i dworki, większe i mniejsze kompleksa lasów, górki i równie poprzeżynane potokami, dają miłą oku rozmaitość.

Przejeżdżając kilka lat temu tą okolicą, rozglądałem się na wszystkie strony, a jako miłośnik polowania, widząc tak odpowiedni teren dla zwierzyny, cieszyłem się, że zamieszkawszy tutaj, będę miał miłą sposobność uczestniczenia co roku na kilku polowaniach z dobrym rezultatem. Lecz jakież było moje rozczarowanie, gdy będąc u kilku sąsiadów na polowaniu, zabijaliśmy przeciętnie w 6 do 12 strzelb kilka zajęcy, lisa, a rogacz to już bardzo rzadko zdobił rozkład ubitej zwierzyny, i gdyby nie serdeczna gościnność w domach gospodarzy, myśliwy, przybyły z obcych stron, nie bardzo miłe wyniósł by wrażenie o naszych polowaniach.

Gdym czytał „Łowca“, a w nim i sprawozdania łowieckie ze wszystkich prawie okolic naszego kraju, nieraz przedtem nasuwała mi się myśl, dlaczego o polowaniach z tej okolicy nie spotkałem się z żadną wzmianką; teraz atoli, zamieszkawszy od lat trzech tutaj, przekonałem się, że w obec tak świetnych rezultatów z polowań w innych okolicach, u nas po każdem odbytem polowaniu lepiej zastosować przysłowie „*Schweigen ist Gold*“. Ponieważ jednak „*Reden ist Silber*“, poprzestając więc na srebrze, postanowiłem sobie wyjaśnić przyczynę tak małego zwierzostanu w naszej okolicy.

Przypatrzywszy się chatom włościańskim, rozrzuconym po całym obszarze gminy, widzimy odrazu, że nigdzie chłop nie ma lepszej sposobności kłusownictwa jak tutaj. Większe obszary lasów dworskich i gruntów są naokoło obstawione chłopskiemi budynkami, a każden ma swoje zabudowania postawione w środku swych gruntów, to też dzierżawiąc gminne polowania, nie ma się z nich najmniejszego pożytku, gdyż wielu jest kłusowników na wszystkich końcach wsi, którzy w swoim niejako rewirze wszystko niszczą. Pewien inteligentniejszy nawet mieszczanin z Tuchowa, nie mający wszakże pojęcia o własności polowania, chwalił się przedemną, że posiada wybornego gończaka do kłusownictwa, któren wytropiwszy zwierza tylko raz zagłosi, a potem goni milczkiem, i w ten sposób uchodzi czujności straży łowieckiej właściciela.

Mamy wprawdzie posterunki żandarmeryi, lecz żandarmi, patrolując po wsiach, wolą urządzać polowania na dziewczęta niż chodzić za kłusownikami, a gdy kto z obywateli doniesie im, że ten lub ów z chłopów ma strzelbę i poluje, dostaje zwykle odpowiedź, że oni nie dostali jeszcze polecenia ze Starostwa do odebrania mu strzelby. Na jarmarkach w tutejszych miasteczkach można nieraz nabyć od chłopa zająca za kila szóstek, bo kłusownika prócz naboju nic ten zając nie kosztował.

Kilka rewirów polowania jest wydzierżawionych chłopom, którzy, by mieć dochód z tego, polują i biją co się tylko da, nic nie szanując. Tej zimy zdarzył się następujący wypadek: Sąsiadki moje chowały sarnę, która tak była obłaskawiona, że przychodziła do pokoju i ze stołu zjadała dawane jej okruszyny. Pewnego dnia psy wygoniły sarnę na pola, a ona uciekając przed niemi, przybiegła do myta, postawionego na gościńcu powiatowym; tam ją złapano i zamknięto. O tem dowiedział się chłop dzierżawiący polowanie po drugiej stronie Biały, niespostrzeżenie wypuścił z zamknięcia sarnę, przeniósł ją prawie na rękach przez Białę aż na swój rewir polowania i odstąpiwszy od niej parę kroków, zastrzelił. Pominąwszy już popełnienie zwykłej kradzieży i przestępstwo ustawy zabraniającej strzelania siut, oburzy każdego sam fakt zastrzelenia tak łaskawego i ślicznego stworzenia, świadczący o chciwości mordowania i niszczenia naszego chłopa.

Nie wielu jest prawdziwych i zapobiegliwych myśliwych w naszej okolicy, a tych kilku, starając się o rozmnożenie zwierzyny w swoich rewirach, nie do szczególnych doprowadzić mogą rezultatów, gdyż zwierzyna nie zna granicy, a przechodząc z zaszanowanego rewiru zostaje zabijaną w sąsiednim, gdzie wzięto sobie za maksymę, iż kucharz powinien dbać o kuchnię, a więc pozwala mu się wraz z lokajem i innymi tym podobnymi myśliwymi bić co przyjdzie pod lufę. Sam słyszałem raz dawaną dyspozycyę, by oddalić ze służby leśnego, gdyż nie pełni jej dobrze, bo już dawno nie przyniósł zająca do dworu; a ile on przy takiem pozwoleniu strzelania zwierzyny nakaleczy swoją odwieczną pojedynką i ile nakradnie, nim jednego zająca odda do dworu, w to się nie zwykło wchodzić.

W ten sposób dzieło tępienia zwierzyny postępuje, a biedny zając, uciekłszy przed śrótem kłusownika, obiera sobie schronienie w ogrodzie dworskim. Lecz zawiódł się nieborak, bo tam czeka na niego cały zastęp służby i dubeltówka przygotowana wisi na jego przyjęcie w kredensie.

Przejeżdżając koło Tuchowa, spostrzegłem kilka razy zgraję psów uganiających po polach. Myślałem, że ktoś poluje z biglami, lecz było to kilkanaście psów gończych z pobliskiego dworu, które po całej sąsiedniej okolicy samopas polują. Dziwi mię tylko, że właściciel chowa taką ilość darmozjadów, które i sąsiadom urządzają nieproszone polowania.

Niedawno temu byliśmy na jednem z sąsiednich polowań. Gospodarz zrobił nas uważnymi, że w tem miocie będą sarny i prosił, by się przypadkiem nie pomylić i tylko na pewne do rogacza strzelać. Na to jeden z panów, nawet stary myśliwy, odezwał się: „Ktoby tam patrzał czy to rogacz czy siuta!“ Na szczęście sarny nie wyszły na tego pana, tylko bokiem z miotu się wyniosły.

Gdyby więc każden w swoim obrębie zwracał trochę baczniejszą uwagę na przyszłość zwierzostanu, możnaby do nie najgorszych rezultatów doprowadzić, a dowodem najlepszym jest to, że u mnie w niewielkim kawałku lasu w kilka strzelb zabito tej zimy 15 zajęcy i lisa, a więcej jak drugie tyle poszło chybione lub niestrzelane.

Dobrze by więc było, powiedziawszy: *mea culpa*, uderzyć się w piersi i zaprzestać dalszego poprostu tępienia zwierzyny, to może za jakich lat parę spotkalibyśmy się w „Łowcu“ z ładnemi rezultatami, podanemi z polowań w naszej okolicy. W przeciwnym razie następcy nasi w szkołach namalowanego zobaczą tylko zająca, a pan profesor zoologii objaśni im, że to jest *Lepus timidus*, któren niegdyś zamieszkiwał i naszą okolicę. *W. B.*

Z pod Potoka Złotego, w lutym br.

(Dziewięć dzików na rozkładzie).

Dzień 30 grudnia ubiegłego roku w miłej i niezapomnianej pozostać musiał pamięci szczęśliwych uczestników polowania, z którego choć spóźnione posełam Szanownej Redakcyi „Łowca“ sprawozdanie. Były to bowiem łowy choć krótkie, ale rezultatem swym tak świetne, że nie łatwo i nie prędko zapomnieć o nich można

W dniu wymienionym około 9 godziny złożył gajowy raport, że przeszło trzydzieści sztuk dzików otropiono w trzcinach. Drużyna myśliwska ruszyła więc żywo do kniei na odgłos trąbki gospodarza, p. Stefana Tustanowskiego, odzywającej się w Żurowskim dworze.

Trzciny przerosłe olszyną i krzakami, w których dziki obcięto, mają kilkadziesiąt morgów obszaru, a przedzielone dwoma niewielkiemi liniami, z dwóch się składają miotów. P. Stefan Tustanowski, wiedząc doskonale, jak i którędy dziki najprawdopodobniej ruszą, i chcąc, by jak najwięcej myśliwych do strzału przyszło, podzielił nas na dwie partye: pięciu myśliwych na pierwszej, przy miocie, w którym dziki obległy, — czterech zaś na drugiej postawił linii, licząc na to, że dziki na pierwszej linii strzelane, wpadną na drugą za nami będącą linię strzelców, jak się też rzeczywiści stało.

Gdyśmy już na stanowiskach byli, nagonka miot zaszła i gonić zaczęła — ten tylko mieć może wyobrażenie o tem, co się działo, gdy dziki ruszyły — kto słyszał już jak rudel dzików z kilkudziesięciu sztuk złożony, na bagnistym i trochę zamarzniętym terenie w zbitej gąszczy trzcin i krzaków się porusza.

Dziki, umiejąc ocenić najlepszego z nas myśliwego, ku swej sromotnej klęsce, wybrańcem losu uczyniły p. Kazimierza Marmarossa; na niego też tłumnie ruszyły, a on nie zawiódł ich oczekiwań. Zrobiwszy tryplętę, zdołał jeszcze nabić swego drylinga i strzelić trzy razy, robiąc znów dubletę, tak, że strzelił sześć razy kulami i położył na linii, na miejscu pięć sztuk, z których każda z kulą w komorze leżała. W chwili gdy nabijał powtórnie drylinga, przyszedł mu w pomoc Władysław hr. Tyszkiewicz i z pośród ciągle przez linię idących dzików, ze swego stanowiska expresową kulą szóstego dzika na miejscu zrulował. Dodać tu muszę, że dziki te przez linię w jednym nieprzerwanym szły rudlu i dopiero na drugich myśliwych rozbite wyskoczyły. Tam też poszło im szczęśliwiej. gdyż tylko jednemu z nich kres życia położył sam gospodarz. Z miotu zatem, który najwyżej trwać mógł kwadrans lub dwadzieścia minut, wyniesiono siedm sztuk dzików, oprócz których kilka postrzelonych uszło w sąsiednie lasy.

Następnie polowaliśmy we właściwej kniei i padły jeszcze dwa dziki, kilka rogaczy i parę zajęcy, których z umysłu prawie nie strzelano. Rezultatem więc kilkogodzinnego polowania było oprócz kilku rogaczy i zajęcy dziewięć dzików.

Nie potrzebuję chyba wspominać o nadzwyczajnem usposobieniu i świetnych humorach, z jakiemi zasiedliśmy do myśliwskiego obiadu, a znana gościnność sympatycznego gospodarza, dodając uroku chwilom jego domu spędzonym, na długo zapisuje w pamięci każdemu z uczestników „polowanie w Żurowie“.

Marceli Bogdanowicz.

Bukaczowce, dnia 16 lutego 1894.

(Towarzystwo myśliwych w Bukaczowcach).

Z końcom roku ubiegłego za inicyatywą i dzięki zabiegom pp. Zdzisława Jordana Stojowskiego i Antoniego Ferusa zadzierzawiło kółko myśliwych knieję Bukaczowiecką od p. barona Christianiego, właściciela majątku Bukaczowce.

Knieja ta rozległa, mierząca około 4.600 morgów, o drzewostanie rozmaitym, mniej lub więcej zwartym, młodszym i starszym, stanowićby mogła prawdziwie piękną knieję myśliwską, gdyby pod względem łowieckim w całem tego słowa znaczeniu zagospodarowaną była.

Niestety jednak tak nie jest; bądź to bowiem z powodu grasujących w tamtych stronach kłusowników, bądź też z powodu braku zamiłowania straży leśnej do pilnowania zwierzyny, — dziś stan zwierza w kniei tej jest nie najlepszy, lecz w każdym razie spodziewać się pozwala, że do lat dwóch lub trzech, przy racyonalnej gospodarce łowieckiej, dawać będzie odpowiedne i piękne rezultaty.

Tą też nadzieją do pracy zachęcone, najmłodsze dziś w kraju naszym towarzystwo myśliwych, ochoczo i energicznie wzięło się do dzieła, a ukonstytuowawszy się, jako statutami i regulaminem objęte „Towarzystwo myśliwych w Bukaczowcach“, — przesela dziś w niniejszej korespondencyi, pierwsze sprawozdanie z historyi swego powstania i pierwszego próbnego niejako polowania.

Towarzystwo nasze, złożone z 25 członków, zebrane na pierwszem polowaniu, wybrawszy przewodniczącym p. Zdzisława Jordana Stojowskiego, ukonstytuowało się w sposób następujący:

Wybrano wydział, w skład którego weszło pięciu członków towarzystwa, mianowicie: p. Zdzisław Jordan Stojowski jako prezes, p. Antoni Ferus jako jego zastępca i gospodarz polowania, p. Wincenty Zelechowski jako łowczy, p. Stefan Tustanowski, jako jego zastępca, i niżej podpisany, jako sekretarz.

Statuta i regulamin przyjęło i ułożyło towarzystwo nasze na wzór statutów i regulaminu towarzystwa lisowickiego.

Na pierwszem tem zebraniu uchwalono niezwłocznie przystąpić do karmienia zwierzyny na całym zadzierżawionym obszarze, — do uporządkowania kniei pod względem myśliwskim i do gorliwego tępienia kłusowników w najroz-

leglejszem tego słowa znaczeniu, w których też to celach, zakupiono natychmiast karmę dla zwierzyny, powycinano najniezbędniejsze linie i przyjęto własną straż leśną, której głównem i pierwszorzędnem zadaniem, ma być polowanie na kłusowników i ochrona kniei przed nimi.

Pierwsze polowanie naszego towarzystwa odbyło się w dniach 27, 28 i 29 grudnia 1893 i dało rezultat w każdym razie nie świetny; — zabito bowiem tylko 6 rogaczy, 30 zajęcy i 1 lisa; strzelano średnio dobrze. Dziki były w kilku miotach, lecz z powodu braku choć trochę wprawnej i chętnej do tropienia straży leśnej, nigdy o nich dokładnie nie wiedziano, w skutek czego też i niektóre mioty fałszywie były brane, a dziki nieobstawionemi flankami bezkarnie się wynosiły.

Znając jednak zamiłowanie do myśliwstwa i dobre chęci naszego gospodarza polowania, jak również wypróbowaną umiejętność prowadzenia polowań naszych łowczych, mieszkających właśnie w Bukaczowcach i najbliższej okolicy tychże, — liczyć możemy w przyszłości na poprawienie się naszej kniei i polowania pod każdym względem. — Prosząc o gościnność w łamach „Łowca“ dla korespondencyj naszych, cieszyć się śmiemy nadzieją, że wszyscy towarzysze myśliwi sympatycznie powitają nowo zawiązane towarzystwo, którego myślą przewodnią jest przedewszystkiem przyczynienie się do podniesienia stanu zwierzyny i łowiectwa w kraju naszym.

Marceli Bogdanowicz.

Delatyn d. 8. lutego 1894.

(Nasze stosunki łowieckie.)

Jako zamiłowany myśliwy, a przytem delegat i członek Towarzystwa łowieckiego od czasu zawiązania się takowego, powinienem zasilać czasopismo nasze doniesieniami z dziedziny łowiectwa. Lecz niestety, nie mam co donieść, a raczej nie mam nic pomyślnego, narzekania zaś nie warto wywodzić często, gdyżby się sprzykrzyły, dość gdy raz jeden podam klęskę tutejszego łowiectwa do obszerniejszej wiadomości.

Oto objąwszy w roku 1873 zarząd lasów rządowych do okręgu Delatyn należących w przestrzeni 10.000 morgów czyli 5750 hektarów, zastałem w tychże lasach bardzo mały stan zwierza, liczący zaledwie 30 sztuk sarn, kilkanaście zajęcy i lisów, oraz parę stad wilków. Przytem było kłusownictwo bardzo rozpowszechnione, a na czele tegoż stał niejaki Leopold Köffer, były prywatny leśniczy i rusznikarz.

Rozglądnąwszy się i zobaczywszy, iż knieje są bardzo ładne, postanowiłem zadać sobie pracy celem rozmnożenia zwierza. Zakazałem strzelać sarny i zające, zająłem się tępieniem zwierza drapieżnego, szczególnie wilków i wałęsających się psów, strzelaniem i truciem, a przytem prześladowałem kłusowników na każdym kroku, odebrałem im wielką ilość strzelb, między któremi dwie dubeltówki Köffera, którego w końcu Bóg powołał na łono Abrahama, gdzie pewnie kłusownikami dowodzi. Do tego zadzierżawiłem polowania gminne w Delatynie, Łuku i Łojowej.

Postępując tak przez lat kilka, doprowadziłem do tego, iż sarny były wszędzie stadkami; w całym okręgu naliczono na ponowie około 300 sztuk, zające także się znacznie rozmnożyły, a wilk tylko czasem raz w rok pojawił się gdzieś pojedynczo. Natomiast pojawiały się dziki i jelenie, z początkiem pojedyńczo, później stadkami.

Tak cieszyłem się owocem mej pracy aż do roku 1885, w którym to roku różni, cudzą pracą żywić się chcący ludzie w Nadwórnie, połączyli się w towarzystwo, które w drodze licytacyi, wypędziwszy czynsz w górę, (a wiedząc że ja tak wysokiego czynszu ofiarować nie mogę, gdyż c. k. Dyrekcya dóbr we Lwowie kwotę czynszu ograniczyła), zadzierżawiło polowanie gminne w terytoryum Łojowy, przez które sarny z jednego do drugiego, memu zarządowi oddanego lasu, przechodzić musiały. Otóż tam strzelali ci Nemrodzi wszystko, co im pod lufę przyszło, a do tego pojawiły się z kądeś raptem rysie w takiej ilości, że nim zdołałem je wytępić, wyjadły i wypłoszyły 70% zwierzyny. Później nastały dla rozmnożenia zwierzyny niesprzyjające lata — i tak zwierzostan z wielkim trudem przezemnie rozmnożony, stopniał do zera. Dziś muszę znowu polowania na sarny i zające zupełnie zastanowić, a ograniczyć się tylko na dziki, których także nie jest tak wiele, jak to włościanie w swych doniesieniach o wyrządzone przez dziki szkody przedstawiają. Jeżeliby zaś proponowana reforma ustawy łowieckiej przyjęła i to postanowienie, aby władza polityczna upoważnioną była wydawać włościanom certyfikaty na broń celem zabijania dzików, to w krótkim czasie w położeniach górzystych, gdzie strzeżenie kłusowników bardzo jest utrudnione, nie tylko żadnej sarny, żadnego zająca, ale nawet już żadnego dzika ani jelenia nie będzie. Już i tak ustawa łowiecka, pozwalająca rozdrabniać prawo polowania na przestrzenie 115-hektarowe i wydzierżawiać takowe według uznania c. k. Starostwa, niby to ukwalifikowanym myśliwym czyli komukolwiek, jest w wysokim stopniu wadliwą; cóż dopiero z tej ustawy za dziwoląg by się wyłonił, gdyby się proponowana reforma utrzymała! Boć przecież wiadomo każdemu myśliwemu, że każdy włościanin tępi zwierzynę bez różnicy i nawet żadnemu pisklęciu nie da się wychować.

Pożądanem byłoby dla podniesienia stanu zwierzyny w kraju, aby Wydział Towarzystwa łowieckiego postarał się o korzystną zmianę ustawy, tj. aby okręg prawa polowania najmniej 280 har. obejmywał, aby do dzierżawy prawa polowania przypuszczani byli tylko myśliwi znani jako starający się o rozmnożenie zwierzyny, i aby do tępienia drapieżnych zwierząt obowiązany, względnie uprawniony był tylko właściciel lub dzierżawca prawa polowania.

Leon Krokowski

Z pod Kańczugi w lutym.

(Echo łowów.)

Po skończonym sezonie polowań myśl ciągle ulata w niedaleką jeszcze przeszłość, gdyśmy jechali do kniei i na stanowisku z wytężonym wzrokiem i słuchem czekali — czy bogini Diana nie zlituje się nad biednym śmiertelnikiem a jej wiernym sługą i czy mu do strzału jakiego rogacza, lisa lub szaraka nie przyprowadzi. Jak to miło wspominać o tej chwili, gdy myśliwy, postawiony w uroczej kniei dębowej, wsłuchiwał się w szemranie stuletnich dębów a okiem wypatrywał nadejść mającego zwierza. Już słyszy głos nagonki i zewsząd padające strzały — rozentuzyazmowany patrzy w knieję i nagle widzi przed sobą mykitę lub rogacza... Jak miło rozpamiętywać chwile takiego spotkania, jak się zwierza przypuszczało lub wypuszczało, jak strzelało, jak zwierz rulował, lub chybiony umykał, co miał siły.

Te i tym podobne myśli nasuwają mi się, gdy już strzelbę na kołku powiesiwszy siadam, aby opisać polowanie,

odbyte 20. stycznia 1894 r. w lasach Sewerynki, przylegających do błot Oleskich. Zaproszeni przez gospodarza, zjechaliśmy się w ośm strzelb na oznaczoną godzinę i o 9. rano ruszyliśmy ochoczo do kniei. Poluje się tam tylko na rogacza, lisa i szaraka. W tym roku, w skutek ciągłych deszczów, zające chorują w tamtych stronach na motylicę i giną. Nadto myśliwym wyjeżdżającym na polowanie przeszła drogę i nieładnie im się przypatrzyła stara baba i tak im lufy zaczarowała, że ich śruty żadnej zwierzynie nie czyniły krzywdy. Padło 23 zajęcy i 2 lisy Prócz zajęcy, co się cofnęły na nagonkę i bokami uciekły, poszło więcej jak drugie tyle chybionych. Nadto jednego z myśliwych spotkało to nieszczęście, że na jednem i tem samem stanowisku chybił 2 rogacze. W ogóle nie mieliśmy szczęścia do sarn, bo albo uderzały na nagonkę, lub też na boki, a jak która już zmuszona nam się pokazała, to była to albo guwernantka, która wiedziała już z doświadczenia, że jej z naszej strony żadne nie grozi niebezpieczeństwo, lub też młoda sarneczka, nie mająca o tem żadnego wyobrażenia.

Lisy gospodarz truje, więc ich u niego w kniei nie ma, a te, co zabiliśmy, pochodzą albo z kniei podhoreckiej, lub też oleskiej, gdyż zabiliśmy je w graniczącym z tymi kniejami miocie. — Po skończonem polowaniu, zaproszeni w gościnne progi Sewerynki, z żalem opuszczaliśmy knieję i obiecali, że na przyszły rok, da Pan Bóg doczekać, zjedziemy się znowu i będziemy się starali tak nasze lufy kierować, aby przynajmniej dwa razy tyle zwierzyny, co w tym roku, padło. *Z. W.*

Sprawozdania łowieckie

Z Galicyi.

— W dobrach Dzikowskich J. E. hrabiego Jana Tarnowskiego ubito w ubiegłym sezonie jesiennym na polowaniach z naganką: 2 dziki, 3 rogacze (strzelano tylko jednego dnia), 10 lisów, 680 zajęcy, 160 bażantów, 15 kuropatw, 1 słonkę. — Prócz tego w sezonie letnim na podjazdach padło 60 rogaczy, — razem 931 sztuk.

— W lasach należących do dóbr Trójca i Huwniki ubito w ciągu roku 1893: 25 dzików, 33 rogaczy, 210 zajęcy, 18 lisów, 1 borsuk, 7 kun, 4 wydry, 2 tchórze, 6 jarząbków, 11 słonek, 10 kuropatw, 42 przepiórek, 16 chruścieli, 2 sowy i 8 jastrzębi. Ogółem 402 sztuk zwierzyny użytecznej i szkodliwej.

Stan zwierzyny u nas (jak na rok zeszły) nie zły — knieje obfitują w grubego zwierza. *F. Lorenz.*

— W Rożwienicy, majątku p. Władysława Górskiego, odbyło się dn. 15 stycznia polowanie w czternaście strzelb. Ubito 11 rogaczy, 8 lisów i 27 zajęcy. Sarn było wiele; oprócz zabitych strzelano do 5 rogaczy. Samym zmrokiem nagoniono z rzepaku na myśliwych całe stada sarn, ale już nie można było rozpoznać rogacza i dla tego padł tylko jeden.

Braliśmy jeden miot polny pod lasem na lisy, a gospodarz tak sprytnie zarządził, iż padło w tym miocie trzy lisy — co w zwykłych warunkach jest rzeczą rzadko się zdarzającą.

Wieczór spędziliśmy w nowo wybudowanym domu w Rożwienicy wesoło, przyjemnie — bo była i staropolska gościnność i towarzystwo wesołe i dobry obiadek i suty napitek i partyjka, ale wszyscy obecnie zgadzali się w tem, że jest jeden brak i to nie lada — ten dom obszerny niema kobiety... Otóż gdy wiesz teraz gospodarzu co Tobie i domowi brakuje — staraj się usunąć ten mankament — a po polowaniu w roku 1894 5 napiszę sprawozdanie z polowania bez „ale“. *Teofil Żurowski.*

— W Rożwienicy odbyło się dalsze polowanie w dniu 25 stycznia, o którem nam piszą co następuje:

„Knieja Rożwienicka zaszanowaną jest nietylko pod względem stanu zwierzyny, ale i pod względem swego drzewostanu wspaniałego. Dziś niestety coraz mniej takich lasów spotykamy, tem też lepiej umiemy je cenić, jak i tych, którym one swe istnienie i utrzymanie zawdzięczają. Stan zwierzyny, szczególniej sarn, jest nie zwykle bogaty: w każdym prawie miocie po kilkadziesiąt sztuk ich się widzi, ale na myśliwych wychodzą tak licznemi i zbitymi rudlami, że nie łatwo jest strzelić rogacza, bez obawy postrzelenia siuty. W dwanaście strzelb ubiliśmy 14 rogaczy, 30 zajęcy i 9 lisów. Już prawie o zmroku wzięliśmy część pola obsianego rzepakiem w ten sposób, że myśliwi stanęli pod lasem, a nagonka od pola gonić zaczęła; miot ten dał nam sposobność zobaczenia przeszło pięćdziesięciu sztuk sztuk sarn pasących się na rzepaku. Sarny nagonką spłoszone ruszyły do lasu, ale było już tak ciemno, że tylko jeden rogacz przez p. Michała Tustanowskiego poznany, uległ swemu przeznaczeniu. — Wdzięczni gospodarzowi za śliczne i niezwykle porządnie i szybko, prawdziwie po myśliwsku poprowadzone polowanie, spędziwszy swobodnie i wesoło cały wieczór, opuszczaliśmy z żalem dwór Rożwienicki z nadzieją spotkania się w nim znów w przyszłym sezonie myśliwskim. *M. B.*

— W Łukawieckiej kniei, u pp. Michała i Stefana Tustanowskich odbyło się dnia 15 stycznia b. r. polowanie w dwanaście strzelb. Z knieją łukawiecką łączy wielu myśliwych niezatarte wspomnienie prześlicznych łowów, knieja to bowiem rozległa i w zwierzynę wszelkiego rodzaju bogata, daje więc na każdem polowaniu piękne rezultaty.

Nie zawiodła też i tym razem naszych oczekiwań; w kilku bowiem godzinach ubito 3 dziki, 12 rogaczy, dwadzieścia kilka zajęcy i parę lisów.

Polowanie było, jak zresztą zawsze w Łukawcu, wzorowo prowadzone, a rozjeżdżając się każdy z nas myślał: rychło li nas znów uprzejma gościnność i róg myśliwski miłych gospodarzy do Łukawieckiej powoła kniei. *M. B.*

— W Oknicach, u p. P. Szczepanowskiego, na polowaniu w dziesięć strzelb ubito 5 rogaczy, 2 lisy i 60 zajęcy. Odyniec postrzelony wymknął się z kniei.

— Z Latacza otrzymujemy od p. W. Krasnopolskiego uzupełnienie sprawozdania, zamieszczonego w Nr. 2 naszego pisma. Polowano przez dwa dni, 10 i 11 stycznia w czternaście strzelb, dano 394 strzałów i ubito 9 dzików, 9 rogaczy, 9 lisów i 111 zajęcy.

— W Brniu, u Jana barona Konopki, na dwudniowem polowaniu w polu i w lesie, odbytym w styczniu w 11 strzelb, ubito przy niesprzyjającej porze, bo podczas odwilży i na czarnej stopie, 2 rogacze, 194 zajęcy i 4 lisy. Do bażantów, które nad podziw w dzikim stanie w tej bardzo pięknej i starannie utrzymanej kniei się zaaklimatyzowały, i w kilku miotach po kilkanaście sztuk ich było, strzały były prawie niemożliwe, z powodu odległości, w której się bażanty, porywały, zwracając się na pogonkę.

Rezultat ubitych rogaczy był także nieodpowiednim do stanu sarn, jaki widziano na polowaniu. Brak śniegu głównie przyczynił się do tego, że niedokładnie poznawano rogacze, a zatem i nie strzelano.

Najlepszym dowodem, jak wspaniałym jest stan sarn było następne polowanie, urządzone w tej samej kniei dnia 22 lutego w 4 strzelby tylko na kozły, lisy i bażanty. Mioty — stosownie do tak małej ilości strzelb — brano kolosalne, bo 50 do 100-morgowe, oddalenie stanowisk dochodziło do 300 kroków, a pomimo tego ubito 7 kozłów, 2 lisy i 2 bażanty.

Dzień był bardzo korzystny do polowania i w podziw wprowadziła myśliwych ilość zajęcy, pozostałych po styczniowych łowach; daleko więcej ich widziano, niż na poprzedniem polowaniu ubito. Widocznie szaraki, obznajomione z ustawą łowiecką, z całą świadomością swego bezpieczeństwa oddają się rozkoszy, której każdy jest niewolnikiem!

Piotr Treter.

Z Królestwa polskiego.

— W Poturzynie koło Witkowa, u p. Marcelego Wydżgi, odbyło się w dniach 10 i 11 stycznia polowanie w 22 strzelb. Ubito 12 dzików, 15 rogaczy, 5 lisów i 47 zajęcy. Do wszystkich 79 sztuk zwierzyny dano 218 strzałów.

— W Łasku (gub. piotrkowskiej) własności p. Włodzimierza Kręskiego, polowano dn. 16 stycznia w 20 strzelb i ubito 70 zajęcy i 6 kuropatw.

— W Przeździatce, u p. Hirschmana, na polowaniu, odbytem w dniach 25 i 26 stycznia w dziesięć strzelb, padło 7 kozłów, 197 zajęcy i 32 bażanty.

— W Mokrzku szlacheckiem, u p. Włodz. Kręskiego (Wieluńskie) na polowaniu kociołkowem w jedenaście strzelb dn. 27. stycznia ubito 105 zajęcy i 3 kuropatwy.

— W Teresinie, u p. Mieczysława Epstajna, odbyło się dn. 28 stycznia polowanie w dwanaście strzelb, na którem padło 200 zajęcy, 2 bażanty i 8 kuropatw.

— W Górach i w Pętnowie (koło Gosławia) u hr. Kwileckiego polowano dn. 31 stycznia i 1 lutego przeważnie w polach i ubito 3 kozły, 633 zajęcy, lisa i 20 kuropatw.

Z Wielkopolski.

— W Babach pod Odolanowem w powiecie Krotoszyńskim ubito w 10 strzelb 490 zajęcy; rezultat to ze względu na okolicę i stan tamtejszej zwierzyny bardzo świetny. Królem polowania był p. Bienek z Chlewa, który 73 zajęcy ubił.

— W Brodach obwodzie Poznańskim u p. Pfluga odbyło się 23 listopada polowanie, na którem w 22 strzelb padło 530 zajęcy. Królem polowania był p. Iffland, który 58 zajęcy ubił.

— W Gutowcach u p. barona Heydebranda odbyło się polowanie w 12 strzelb w dniu 15 listop.; na rozkładzie znalazło się 404 zajęcy i 12 kuropatw.

— W Drzazgowie, powiecie Średzkim, obwodzie Poznańskim, u p. hr. Jana Grudzińskiego polowano 3 i 4 stycznia b. r. i ubito w 8 strzelb 650 zajęcy i 12 bażantów, kogutów. Królem polowania był p. Szydłowski z Brodowa, który 85 zajęcy ubił.

— W Gieczu, powiat Średzki, polowano dnia 28 grudnia w 5 strzelb i ubito 60 zajęcy.

— W Siedlecku pod Wągrówcem zabito 46 zajęcy i 6 kuropatw.

— W Łęknie, obwód Poznański, ubito na polowaniu 224 zajęcy i 12 kuropatw.

— W Łaskownicy ubito na polowaniu 226 zajęcy

— W Nechli pod Wschową u p. barona Szlichtinga ubito 246 zajęcy, 4 kozły i 20 królików.

— W Lutomiu polowano w 15 strzelb i ubito 260 zajęcy, 26 królików i 5 bażantów.

— W Cerekwicy pod Jarosznem ubito w 15 strzelb 169 zajęcy i 7 kozłów.

— W Babinie, powiecie Wrzesińskim ubito 102 zajęcy.

— W Radgoszczy, pod Wągrówcem padło 135 zajęcy i 7 kozłów, a w Wiatrowie ubito 167 zajęcy i 6 kozłów.

— W Widziniu pod Wolsztynem ubito w 6 strzelb 171 zajęcy.

— W Kazimierzu pod Szamotułami padło 478 zajęcy.

— W Kuklinowie pod Krotoszynem u p. Chełkowskiego odbyły się dwa polowania w dwóch dniach. Na rozkładzie znalazło się: 677 zajęcy, 4 lisy, 4 kozły i kot zdziczały. Królem pierwszego dnia był p. Chełkowski ze Starogrodu, który 68 zajęcy ubił.

— Na polach miasta Kempna odbyło się polowanie w 10 strzelb, dnia 22 stycznia r. b. i ubito 372 zajęcy. Królem polowania był p. rotmistrz Hoffmann z Poznania, który 91 zajęcy ubił.

— Na polach ordynacyi Pławnojewickiej (Szląsk Pruski, powiat Gliwicki) u p. hr. Balestrema polowano w 10 strzelb dnia 19 grudnia Na rozkładzie jednodniowego tego polowania znalazło się 1.000 sztuk zwierzyny a to: 230 zajęcy, 6 królików, 732 bażantów kogutów i 2 jastrzębie.

Julian Neyman.

KRONIKA.

Projekt ustawy łowieckiej nie doczekał się i w ostatniej sesyi sejmowej załatwienia. Między poglądami prawdziwych przyjaciół łowiectwa, którzyby chcieli drogą rozumnych ograniczeń wpłynąć na polepszenie zwierzostanu — a tymi, którym chodzi głównie o pieczeń i którzyby przeto pragnęli znieść wszelkie ograniczenia, okazały się tak wielkie różnice, że trudno było przypuszczać, iż ustawa rozumna bez twardej opozycyi da się przeprowadzić. Za radykalnem rozszerzeniem prawa polowania, równającem się wprost wytępieniu zwierzyny, oświadczali się niektórzy posłowie włościańscy z Mazurów i znaleźli chętnych popleczników w partyach ruskich.

Poseł Potoczek stawiał np. takie wnioski:

1. Każdemu, co ma przynajmniej 50 hkt. tj. 86 morgów, wolno polować na tym okręgu polowania. 2. Obejście i ogród powinny być wyjęte z pod dzierżawy prawa polowania, a to w celu zabezpieczenia

każdemu spokoju domowego. Ponieważ za możliwe szkody w ogrodzie nie powinien być nikt wynagradzany, dla tego należy uznać w ogrodzie każdemu samodzielne prawo polowania. 3. Z mniejszych gruntów wolno tworzyć spółki polowe dla utworzenia okręgu polowania. 4. Polowanie, które należy do spółki, ma być oddane albo wydzierzawione jednemu w drodze dobrowolnej ugody. Ten jeden odpowiada przed władzą za przepisy polowania. 5. Polowanie gromadzkie za zgodą wszystkich właścicieli może być wydzierzawione w drodze dobrowolnej ugody, gdy zaś nie ma zgody, ma być wydzierzawione w drodze licytacyi w gminie. W tym wypadku Wydziałowi powiatowemu powinno przysłużać prawo zatwierdzenia. 6. Do dzierzawy licytacyi mają prawo najwięcej dający, a z tych pierwszeństwo współwłaściciele gruntów. 7. Brak karty na broń nie stanowi przeszkody posiadania albo wydzierzawiania i licytacyi polowania. 8. Na dowód uprawnienia do polowania otrzymuje się kartę myśliwską, za taką kartę myśliwską nic się nie płaci. 9. Dziki, lisy i inne szkodliwe zwierzęta wolno każdemu na swoim gruncie strzelać i jakimkolwiek innym sposobem łapać i zabijać, choćby prawo polowania było w innych rękach. 10 Żądamy, aby szkody i przekroczenia polowe, z prawa polowania wynikłe, podpadały pod policyę polową gminy i pod dozór straży polowej w myśl ustawy polowej. Dla strzelania dzikich, szkodliwych zwierząt, straży polowej powinno przysłużać prawo noszenia broni palnej. Tak samo i dochodzenie szkód polowych z polowania wynikłych, czy przez zwierzynę dziką zrządzonych, odbywać się ma w sposób w ustawie polowej przepisany t. j. w gminie i przez gminę.“

Dążenia do takiego rozszerzenia prawa polowania i rozdrobnienia areałów, do których się to prawo odnosi, nie są odosobnione; odzywają się one i w innych krajach. Chłopi np. Niższej Austryi odbyli w Wiedniu kongres, na którym omawiano potrzebę wydania państwowej ustawy łowieckiej, wedle której opłaty od broni i od prawa polowania miałyby być zniesione, i łowy każdemu dostępne. Referent wiedeńskiej *Jagd. Ztg.* omawia te „ideały chłopskie“ w następujący satyryczny sposób: „Polowanie ma być wolne, podatek od broni i polowania zniesiony, a wytępione rewiry będą mogły być czasowo do zapełnienia zwierzyną dotychczasowym właścicielom polowania oddane; wszystkie koszta polowania i wydatki osobiste mają niepolujący właściciele większ chłopom zwracać i starać się o przyzwoite ich podejmowanie w czasie łowów, gdyż w przeciwnym razie nie będę przez chłopów na polowania zapraszani. Zresztą i we wszystkiem innem nie przekroczył kongres chłopski granic skromności“.

O naszej wystawie psów, na powszechnej wystawie krajowej we Lwowie, zamieścił obszerny i sympatyczny artykuł pióra znakomitego kynologa p. Juliana Neymana drezdeński *Weidmann*. Jest w nim tylko wypowiedziana troska, czy specyalne rasy wyżłów niemieckich, a mianowicie krótko- długo- twardo- i druto-włose odmiany, będą jako osobne klasy uważane. Pod tym względem możemy wystawców niemieckich uspokoić, że wystawowa sekcya łowiecka, wymieniając między psami myśliwskiemi i użytkowemi w punkcie 4. „wyżły wszelkiego pochodzenia“, otworzyła właśnie wrota dla wszystkich odmian wyżła niemieckiego jako klas odrębnych i nie będzie żadnych trudności czyniła, aby je jako osobne klasy traktowano i premiowano. Niech tylko pp. hodowcy niemieccy wezmą udział w naszej wystawie.

Dzikie gęsi widziano już dnia 3. lutego przelatujące długim kluczem ponad Kraków. Cóż się z niemi stało, gdy nadeszły ponownie trzaskące mrozy po zdradliwych przygrywkach wiosny?

Napad wilków. Okropny wypadek zdarzył się d. 18. lutego w Nowosielicy na Bukowinie. Gromada wilków opadła wracającą z pola włościankę Katarzynę Czoban. Głodne bestye rozszarpały nieszczęśliwą kobietę tak, że z pozostałych członków i strzępów odzieży zaledwie zdołano stwierdzić identyczność.

W Praterze wiedeńskim ma być w maju otwarty nowy zwierzyniec, przedstawiający niedźwiedzie, wilki, kozice itd. [illegible]e właściwem ich otoczeniu i z zachowaniem charakterystyki ich ż[illegible] i zwyczajów.

Pogromca zwierząt Müller, Niemiec, przypłacił życiem niebezpieczny swój zawód. Produkując się w menażeryi, w Atenach, Müller wszedł do klatki, w której mieszkały trzy tygrysy. Wszystkie trzy rzuciły się na niego i poszarpały tak, że z rozdartych piersi wyszły płuca na zewnątrz.

Olbrzymie ptaki. Na posiedzeniu francuskiej akademii nauk w dniu 15. stycznia znany zoolog Milne-Edwards przedstawił kości olbrzymiego ptaka, żyjącego niegdyś na wyspie Madagaskarze. Ten najstarszy przedstawiciel królestwa skrzydlatych w stronach podzwrotnikowych, nazwany przez uczonych „Epiornisom“, miał wysokości około 2 sążnie. Jego kości nawet w porównaniu z kościami strusia wydają się ogromne i zadziwiły akademików nie tyle długością, ile niezwykłą grubością. Pierwszych wiadomości o olbrzymim ptaku zasięgnął w r. 1851 prof. Saint-Hilaire. Później podróżni znajdowali szczątki tych olbrzymów w błotach madagaskarskich razem z kościami krokodylów, z czego wywnioskowano, iż był to ptak błotny. Szczątki tych ptaków spotykają się w Nowej Zelandyi. Fakt ten, według francuskich uczonych, zasługuje na uwagę, dowodzi bowiem, iż dwie wyspy, rozdzielone obecnie olbrzymiemi przestrzeniami wód oceanu, w przedpotopowych czasach stanowiły część jednego lądu.

Nadzwyczajny szczur. Jeden z rzeźników w Brukseli schwytał w swej jatce kolosalnego szczura, mającego wraz z ogonem około metra długości, a ważącego około 4 kilogramów. Jest to więc zwierzę większe od wyrośniętego kota. Rzeźnik schwytał olbrzyma rodzaju szczurowego przy pomocy worka w chwili, gdy zwierzę pożerało małego pieska. Zdobywcy ofiarowywano już za ten egzemplarz 500 franków, wolał go jednak wystawić w swej jatce na widok publiczny, gdyż to ściąga liczne tłumy widzów.

Profesor Garner, znany badacz mowy małp, którego spostrzeżenia niejednokrotnie podawaliśmy w naszem piśmie, zmarł w końcu ubiegłego roku w Liwerpolu. Z ostatniej swej podróży do Afryki przywiózł był Garner dwa szympansy, samicę i samca. Samica padła ofiarą klimatu angielskiego. Po jej śmierci samiec był nieutulony; trzymał ją ciągle w objęciach, a gdy nadszedł Garner i auskultował, czy serce jej bić przestało, szympans patrzył mu błagalnie w oczy, jak gdyby chciał wybadać, czy istotnie już nie ma żadnego ratunku. Potem wpadł w taką rozpacz, że go nie można było uspokoić; zwłoki towarzyszki musiano mu wydrzoć przemocą. Przez trzy dni nie dał się nakłonić do jedzenia i od tej chwili osowiał.

OGŁOSZENIA.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zimorowicza 7.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.